Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 32 (1872) ● 7–13 sierpnia 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Konfesjonał strachu

str. 10

PIELGRZYMKA RODZINY TYGODNIKA „NIE” NA CIEMNĄ GÓRĘ

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl be094cd7ef

WOJNA DOMOWA

W nocy ze środy na czwartek nad teren Polski wleciała rosyjska rakieta, która następnie spadła i eksplodowała na polu w powiecie biłgorajskim, nie czyniąc nikomu i niczemu żadnej szkody, z wyjątkiem dziury w ziemi. W tej sprawie – może Państwa zaskoczymy – będziemy chwalić postępowanie i procedury polskiego wojska. Otóż nikt nie strzelał do rakiety na oślep, jak w Wyrykach we wrześniu zeszłego roku, kiedy polski F-16 zdjął dach polskiego domu, cudem nie zabijając mieszkańców. Procedury przewidują bowiem wzrokową identyfikację obiektu, do którego się strzela – co jest bardzo sensowne, zwłaszcza że w przeciwnym razie moglibyśmy niechcący zestrzelić ukraiński samolot goniący taką rakietę. Nikt nie zginął, nikt nie został ranny, nikt nie poniósł strat, nikt nie zmarnował pocisku wartego 10 baniek, nie doszło do poważnego incydentu międzynarodowego. To prawie że mogło wzbudzić zaufanie do państwa i jego reakcji na takie incydenty.

Prawie, bo chwilę później zaczął się kociokwik. Premier pojechał osobiście pod Biłgoraj, żeby obejrzeć dziurę w ziemi i ogłosić, że „musimy się bardzo szybko uczyć nowych zagrożeń", a media – także te prorządowe – rozpętały gównoburzę w sprawie alertu RCB, którego nie było. Odpowiedź czynników rządowych była cokolwiek nerwowa – a najbardziej ubawiła nas rzeczniczka min. Kierwińskiego, p. Gałecka, która była śmiertelnie oburzona sugestiami, że alert mógłby wyjaśnić mieszkańcom, czemu przez 11 minut w środku nocy wyły im syreny. Oburzenie p. Gałeckiej było tak głębokie, że także zapytana o to, co ma zrobić obywatel, który usłyszy syreny – odpowiadała, że „wszystkie procedury zadziałały", i opierdalała dziennikarza za każdym razem, gdy usiłował jej przypomnieć pytanie: „Albo pan chce odpowiedź na pytanie, albo chce pan teraz polemizować"; „Proszę pozwolić mi dokończyć"; „Potwierdzam jeszcze raz to, co powiedziałam"… Andrzej Lepper, którego 15. rocznicę śmierci obchodziliśmy w tym tygodniu, miał taką technologię rozmowy z mediami: o co by cię nie pytali, mów swoje. Ale Lepper był zwalczanym przez salony, także medialne, politykiem (przeważnie) opozycji – a p. Gajewska jest rzecznikiem ministerstwa i odpowiadanie na pytania to jest jakby to, za co jej płacimy. My, podatnicy.

Rakieta pod Biłgorajem odciągnęła uwagę narodu od nocy długich noży w PiS-ie – ale na krótko. Otóż bowiem sam prezes zabrał głos w temacie rozłamu w swoim królestwie – i, jak ma to w zwyczaju, zamiast rozmawiać o meritum, ruszył do ataku personalnego: „Ostatnie wypowiedzi Mateusza Morawieckiego pokazują jasno: wrogiem dla Mateusza Morawieckiego nie jest Tusk, ale ja oraz Prawo i Sprawiedliwość. Najwyraźniej Mateusz Morawiecki ma plan poszukiwania swoich sojuszników gdzie indziej" – ogłosił na Iksie, nie widzieć czemu powtarzając pełne imię i nazwisko byłego premiera cztery razy w jednym wpisie, jakby wymawianie tych słów sprawiało mu jakąś masochistyczną przyjemność. A na koniec dodał przebiegle: „Mam wrażenie że pan premier jest w jakimś dziwnym stanie. Odnosiłem również w trakcie naszych rozmów. Daj Boże, żebym się mylił". Wszak nikt zdrowy na umyśle nigdy nie odszedł od prezesa.

W cieniu tych dwóch wydarzeń prawie w ogóle znikła afera Szpitala Południowego. Prawie, bo przypomniał o niej prezydent Warszawy – jak zgadujemy, nie z własnej inicjatywy, tylko na polecenie premiera – ogłaszając wyniki audytu, który przyniósł „44 zalecenia", ale jednocześnie „pokazał, że ten szpital funkcjonował i zapewniał ochronę zdrowia dla Warszawiaków i Warszawianek". Trzaskowski zapowiedział, że jego „celem jest odzyskanie zaufania do szpitala i do całej ochrony zdrowia w Warszawie" – zręcznie wpychając w bigos, nawarzony przez jego ukochany projekt, także inne stołeczne placówki, do których zastrzeżeń nie było. Dodał też: „można to robić tylko określonymi decyzjami, które ja podejmuję, twardymi decyzjami, które ja podejmuję". Wiarygodność twardości pana prezydenta nieco podważał fakt, że pocił się jak Nixon na debacie z Kennedym. I tak, wiemy, że w Warszawie było tego dnia 32 stopnie, ale w ratuszu jest klima.

Jak poinformował rzecznik Szłapka, rząd przyjął nowelizację prawa farmaceutycznego, która znosi zakaz reklamy aptek – bo jeszcze za mało produktów big pharmy wciskają nam na wszystkich kanałach. I dodał uspokajająco: „Jednocześnie projekt wprowadza bardzo konkretne zasady regulujące: na przykład to, że nie będzie można wykorzystywać wizerunku osób poniżej 18. roku życia, w żadnej mierze nie będzie można wprowadzać błąd, czyli wprowadza takie zasady, które będą czytelniejsze, łatwiejsze i bardziej przejrzyste z punktu widzenia konsumentów"… Może gdyby ten rząd pamiętał, że do apteki chodzą pacjenci, nie konsumenci, bo leki służą do leczenia, nie do konsumowania, stan służby zdrowia byłby w Polsce lepszy.

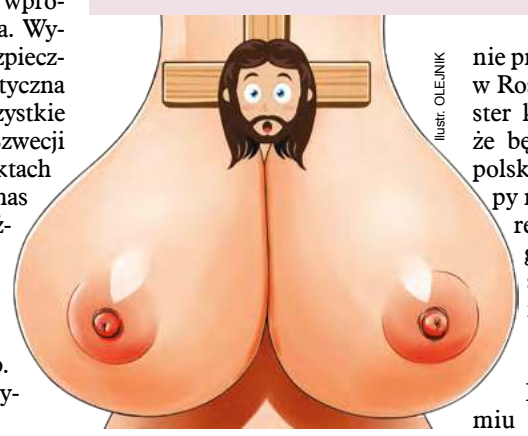
AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Sierpień 2014 r.





Ilustr. OLEJNIK

Świętego Dominika

Nadprokurator Seremet tępi rasizm w internecie piętnujący ministrową Sikorską. A przecież niewiele lat temu segregację rasową wprowadzono do polskiego prawa. Wyodrębnia ona tzw. rasy niebezpieczne psów. Poprawność polityczna wyklucza pojęcie rasy. Wszystkie tzw. rasy psów są równe. W Szwecji zakazano używania w aktach prawnych słowa „rasa". U nas wprowadza się rasowe rozróżnienia i obrzydza niektóre rasy. Bulteriery protestują. Oczywiście nie neguję różnic między psami, bo zaprzeczanie im wymagałoby np. obcinania nóg chartom do wymiarów jamnika.

Pudel Azor pogryzł do krwi dziecko, które jechało w wózku ulicą Piłsudskiego w Konstancinie. Oczywiście winne było dziecko, które zdenerwowało i wystraszyło Azorka, machając mu przed nosem bosym, spoconym odnóżem. Pudel się wystraszył, działał w obronie własnej, ale nogi tej nie odgryzł. Rodzice dziecka przyszli do mnie, bezczelnie żądając, abym im pokazał dokument, że Azorek był szczepiony na wściekliznę. Odparłem, że wyjmę tę książeczkę, jeśli oni pokażą mi dokument, że na wściekliznę szczepiony był ich bachor. Azorka trzeba było wynagrodzić za przykrości suszonym mięsem strusia, bo niech bohater pożera bohatera.

Świętego Laurenta

Odcinając się od rasizmu, zrobiłem obrachunki rodzinne. Moje wnuki są ćwierć-Żydami, ponieważ ich matka, a moja córka jest po mnie pół-Żydówką. Ćwierćsemityzm to jest akurat. We wnukach Daniszewskiej tkwi 12,5 proc. Żyda. Ich dziadek ze strony ojca był Żydem ożenionym z gojką, ojciec tych dzieci, a ich dziadek – pół-Żydem. Jego i Daniszewskiej córka ćwierć-Żydówką, więc jej dzieciom przypada 12,5 proc. To trochę mało, muszą się więc w szkole pilnie uczyć.

Świętej Klary

Z okazji lata w TVN24 obejrzałem dyskusję o nagości. Filozofka katolicka dopuszcza tylko nagość małżeńską, a aktorka Anna Mucha nieśmiało przyznała się do chodzenia nago po domu, jak nikt nie widzi, a we wcześniejszej młodości – szokujące – opalała się w wydmach topless. Nagie dzieci na plaży to rozwiązłość, a dorośli – naucza Kościół – mogą się goło opalać tylko w wyodrębnionych rezerwatach. Nagości należy się wstydzić. Kościół twierdzi, że wyraża prawa naturalne. Jednak z natury człowiek jest nieubrany. Bóg stworzył nagą parę. Rodzice nago sporządzają dzieci, które też rodzą się nagie. Po zejściu ludzie leżą goli w prosektorium. To garderoba jest przeciw naturze, np. przeciw mrozom. Jednakże filozofki katolickie powinny być zawsze tekstylne, bo ich wstyd jest uzasadniony. Względami estetycznymi.

Świętej Klarysy

Afera. Szpitale i przychodnie biorą z NFZ pieniądze za zabiegi, których nie wykonują. Brodatemu facetowi owłosionemu jak Azor w Białymstoku gmerano wziernikiem w pochwie i macicy. Cóż, w ostatnich latach w lecznictwie nastąpiła zmiana. Kilkanaście lat temu lekarze nie mieli z czego żyć. Teraz są wypasieni, więc szpitale i przychodnie nie mają z czego żyć i muszą chwytać się sposobów.

Świętego Hipolita

Rząd rosyjski trafnie potraktował rząd polski jak głupich smarkaczy. W odpowiedzi na skasowanie przez nas roku kultury polskiej w Rosji i rosyjskiej w Polsce minister kultury z Moskwy oznajmił, że będzie sponsorował przyjazdy polskich artystów do Rosji i występy rosyjskich w Polsce. Mądra ta reakcja, podobna do życzliwego klapsa, nie wywołała w naszym kraiku żadnych komentarzy.

Świętego Evrarda

Przeczytałem książkę „Siedmiu wspaniałych" o wszystkich szefach PZPR. Osobiście znałem tylko trzech ostatnich. Najgorzej wypada Bierut jako przeciętniak i moskiewski namiestnik. Jednakże i on, jak wszyscy, był patriotą. Chciał jak najwięcej władzy niezależnej od społeczeństwa i w znacznym stopniu od Moskwy. To była jego władza i wcale nie lubił nią się dzielić. Czytam też z karygodnym opóźnieniem „Zajeździmy kobyłę historii" Karola Modzelewskiego. Wraz z postępami lektury narasta mój podziw dla autora i moje własne poczucie wstydu. Doznaję poniżenia także pozapolitycznego, bo z zawiści. Wywołuje ją mądrość Modzelewskiego. „Zajeździmy…" przypomina o paradoksalnym spotykaniu się i politycznym rozchodzeniu ludzi. Modzelewski opowiada, jak współtworzył Rewolucyjny Związek Młodzieży. Na zjeździe buntowników w Sali Kongresowej PKiN to ja proklamowałem powstanie RZM. Kongresowi przewodniczył przyszły prawicowy premier Jan Olszewski. Referat programowy wygłosił Józef Lenart, przyszły moczarowiec.

Świętego Asemptiona

W YouTube ocenzurowano wstecz wszystkie moje filmiki zawierające żarty z Kościoła. Opatrzono je klauzulą dostępności od 18 lat, co realnie znaczy, że może je oglądać mniejszość zalogowana w portalu. Szerzej o tym napiszemy. Pierwszy poszedł pod nóż filmik szydzący z Chazana i innych „lekarzy sumienia". Występuję jako doktor, który przepisuje kurację: na czczo „Zdrowaś Maryjo", po śniadaniu „Ojcze nasz", wieczorem święcona woda we wlewce, doodbytniczo. Na Wielkanoc bujałem się na bujaku z dwiema osobami w kostiumach dla dzieci – zająca i kurczaka. Kurczak zapytał: No i co, Urban. Ja odpowiadam: Jajco. I to także demoralizuje 17-latka.

W Polsce nawet internet jest umysłowo chory na katolicyzm.

Świętego Pasquala

Pomysł dla młodych na mały biznes. Wyrabiać stołowe, łatwopalne łuki z tęczy, żeby każdy katol mógł się bezkarnie wyżyć, paląc go sobie w domu.

Świętego Ulema

Kurski w tym sezonie jest mistrzem Polski w ośmieszaniu siebie. Np. w roli pokutnika u Kaczora, którego zdradzał trzy lub pięć razy. Nie wystarczało mu robić to żonie.

Kurski pozwał mnie do sądu o to, że chcieliśmy w „NIE" napisać, że się rozwodzi i schodzi z przyjaciółką-utrzymanką Unii Europejskiej. A teraz jego rozwód zajmuje trzy główne stronice dziennika „Fakt" i zdarzenie ocenia „Rzeczpospolita" na stronicach politycznych. Popieram bardziej rozwody niż śluby, ale popularne bardzo porzucanie żony na rzecz własnej sekretarki nie cechuje królów życia, lecz ciamajdów zbyt leniwych, żeby szukać dziewczyny, zamiast brać, co pod ręką. Szybka jazda samochodem to zaś, jak wiadomo, objaw kompensacyjny impotentów.

Świętego Bugaja

Ekonomista Ryszard Bugaj dostanie Nobla za odkrycie, cytuję: „Rządzą nami ludzie, którzy posługują się rynsztokowym językiem" („Rzeczpospolita" nr 182). O, kurwa, ja cię pierdolę.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Lech Wałęsa** zapewnił, że nie był agentem. Fajnie, ludzie najbardziej lubią te piosenki, które już kiedyś słyszeli.
- **Król Maroka** nazwał autostradę imieniem Donalda Trumpa. E, to gierkówka zwykła.
- **Polak** przyznał się do profanacji Matki Bożej w Međugorju. Nawrocki z miejsca powinien mu odebrać obywatelstwo.
- Według sondażu dla Wirtualnej Polski **polska prawica** nie ma obecnie lidera. Może niech teraz Kaczyński zaprosi na grilla.
- Jak informuje **Radiomaryja.pl**, pływanie pomaga na ból pleców. Katolicy powinni raczej się modlić o uzdrowienie.
- **TV Republika** reklamuje swoją telefonię komórkową – Rmobile. Teraz zaczną się zbiórki z rozmachem.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Picie platoniczne

Kalendarz zmusza do szczególnego pochylenia się nad materią alkoholową, na co jak zwykle czujnie zareagowaliście w najnowszym numerze („Winy mszalne", „NIE", nr 31/2026 – red.). Mam taką refleksję: ludzie dzielą się na pijących i pijących tylko platonicznie. A generalnie żaden idealizm na pochwałę nie zasługuje.

Grzegorz Ruchlewicz

Po wakacjach do cywila

Media corocznie podają, że najwięcej księży diecezjalnych i księży zakonnych zwanych ojcami zrzuca sutanny i habity po zakończeniu wakacji. Wiadomo: słońce, plaże, wyjazdy, motyle w brzuchu, poznane kobiety, poznani przystojni faceci i zaczyna się koniec dotychczasowych tekstów o powołaniu, cokolwiek to znaczy, i innych tego typu tekstów dla naiwnych. Obrotni księża są nadziani pieniędzmi po różnych kolędach, zbiórkach „na remont dachu", więc dosyć łatwo po zakończeniu wakacji płynnie przejść do cywila.

Corocznie zastanawiam się, jaka jest skala tej powakacyjne rejterady. Czy dziennikarze i naukowcy przyglądają się skali tego zjawiska?

Czytelnik

Matka Boska Błyskająca

W związku z tym, że niedługo (chyba 15 sierpnia) w Konotopiu ma odbyć się odsłonięcie statuy Matki Bożej, z uwagi na jej wysokość (powyżej 50 m) interesujące byłoby zweryfikowanie, jeśli to oczywiście możliwe, czy spełnia ona wymogi bezpieczeństwa ze względu na ruch lotniczy. Budowle o takiej wysokości powinny być wyposażone w błyskające oświetlenie oraz zgłaszać należy je do Ministerstwa Obrony Narodowej, a lotnictwo cywilne i wojskowe ocenia je pod kątem zagrożenia.

PS

eprasa.pl be094cd7ef

Sto lat, Fidel!

„NIE” rozmawia z IBETE FERNÁNDEZ HERNÁNDEZ, ambasador Republiki Kuby w Polsce


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Pani Ambasador, spotykamy się w setną rocznicę urodzin Fidela Castro. Dla wielu ludzi europejskiej lewicy – w tym dla mnie – jest on inspiracją; kimś, kto obalił wspieraną przez Amerykanów dyktaturę, odparł amerykańską inwazję, przez dziesięciolecia stawiał opór amerykańskiemu imperializmowi i pod bokiem USA zbudował państwo oparte na socjalistycznych zasadach. A kim jest Fidel Castro dla dzisiejszych Kubańczyków? W ciągu ostatniego ćwierćwiecza byłam na Kubie czterokrotnie – dwa razy za życia Fidela i dwa razy po jego śmierci – i nie widziałam żadnych oznak kultu. W Polsce byłoby to nie do pomyślenia; wystarczy wspomnieć, co zrobiliśmy z Janem Pawłem II…

– Jest taki cytat José Martíego, który znają wszyscy Kubańczycy: „Cała chwała świata mieści się w ziarnie kukurydzy”. Wyraźnym życzeniem Fidela Castro było odrzucenie jakiejkolwiek tendencji do kultu jednostki. W grudniu 2016 r., miesiąc po jego śmierci, Zgromadzenie Narodowe Kuby nadało temu życzeniu formę prawa: nazwiska Fidela Castro Ruz nie wolno używać do nazywania instytucji ani ulic i innych miejsc miejsc publicznych, a także odznaczeń, nagród lub tytułów honorowych. Zakazane jest wznoszenie pomników, tablic pamiątkowych etc., oraz używanie nazwiska, wizerunku czy jakichkolwiek aluzji do jego postaci w charakterze znaków firmowych, dla celów komercyjnych lub reklamowych. Jedyny wyjątek przewidziany w ustawie odnosi się do instytutu naukowego badającego jego rolę w historii Kuby. Instytut taki – Centrum Fidela Castro Ruza – powstał w 2021 r., jako instytucja publiczna zajmująca się badaniem i upowszechnianiem wiedzy o myśli, pracy, życiu i przykładzie El Comandante. W tym tygodniu centrum będzie gospodarzem I Międzynarodowego Kolokwium „Fidel: Dziedzictwo i przyszłość”.

– I jakie jest to dziedzictwo?

– Jego rola w przywróceniu Kubańczykom godności poprzez walkę z analfabetyzmem, ustanowienie powszechnej opieki zdrowotnej, przyznawanie ziemi chłopom, wyeliminowanie rasizmu i represji dotykających zwykłych ludzi – sprawia, że ma on szczególne miejsce w sercach wszystkich Kubańczyków; także teraz, kiedy go zabrakło. Fidel spełnił długo pielęgnowane marzenie narodu kubańskiego o godności i wyzwoleniu – aspiracje sięgające czasów podboju i oporu rdzennej ludności wyspy wobec kolonizatorów. Jego niezłomności, odwadze, inteligencji zawdzięczamy triumf rewolucji kubańskiej w 1959 r. Było to zwieńczenie zmagań toczonych od 1868 r., kiedy generał Carlos Manuel de Céspedes uwolnił swoich niewolników i wezwał ich do przyłączenia się do walki z hiszpańskim kolonializmem, ustanowionym w naszym kraju rok po odkryciu wyspy w 1492 r. Fidel Castro był przywódcą rewolucji, która umieściła Kubę na mapie świata jako wyspę wolności i sprawiedliwości dla wszystkich, pokazując jednocześnie, że można wywalczyć niepodległość także w hemisferze zdominowanej przez imperialistyczne myślenie.

– Przejrzałam opublikowany właśnie raport Departamentu Stanu USA na temat Kuby i mam wrażenie, że jest w nim pełno komplementów. Resort Marca Rubio nazywa Kubę „stolicą komunizmu XXI wieku”, uważa, że wasz kraj „udoskonalił nowy model długiej wojny”, który to model „odniósł niebywały sukces”, czyniąc z Kuby „centrum rozległej sieci” obejmującej hemisferę, którą Amerykanie uważają za swoją. Czytam także, że Kuba ma „obsesję na punkcie »wyzwolenia« Globalnego Południa od jego zachodnich kolonialnych ciemiężycieli”. Same dobre rzeczy. Odbieracie to jako komplement czy groźbę? A może jedno i drugie?

– Raport Departamentu Stanu nie jest komplementem; to stek oszczerstw, który ma usprawiedliwić stosowanie wobec obywateli Kuby kar zbiorowych i praktyk o charakterze ludobójczym. Raport przedstawia Kubę jako zagrożenie dla USA, ale tak naprawdę to on zagraża mojemu krajowi – bo może zostać wykorzystany do legitymizacji agresji Stanów Zjednoczonych przeciwko nam. Zarzuty USA wobec nas są absurdalne: łącznie z tym, że gościmy rosyjskie i chińskie bazy szpiegowskie oraz irańskie rakiety. Przecież nikt rozsądny nie uwierzy, że Kuba przeznacza jakiekolwiek zasoby na obalenie porządku światowego, skoro tak dramatycznie brakuje ich do złagodzenia niszczycielskich skutków gospodarczych amerykańskiej blokady. Oskarżanie nas o promowanie działalności wywrotowej jest ze strony Departamentu Stanu szczytem hipokryzji – skoro powszechnie wiadomo, że to rząd USA przeznacza rocznie dziesiątki milionów dolarów na próby „zmiany reżimu” na Kubie, na wywoływanie głodu, desperacji i gniewu naszych obywateli.

– Zachodnia – w tym także polska – propaganda nieodmiennie przedstawia dramatyczną sytuację gospodarczą na Kubie jako wyłączny efekt „67 lat komunizmu”, starannie przemilczając 67 lat amerykańskiego embarga. Ile naprawdę kosztowało Kubę przeciwstawianie się amerykańskiemu imperializmowi?

– Blokada gospodarcza, finansowa i handlowa nałożona przez Stany Zjednoczone stanowi główną przeszkodę dla rozwoju gospodarczego i społecznego, spowodowała wielomiliardowe straty kubańskiej gospodarki, a jej „koszty ludzkie” są nie do obliczenia. Szacuje się, że 80 proc. Kubańczyków mieszkających na Kubie przeżyło całe swoje życie w cieniu blokady. Podczas pierwszej administracji Trumpa wdrożono ponad 240 nowym sankcji mających na celu zaostrzenie


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

blokady. I w tym czasie Kuba musiała samodzielnie stawić czoła pandemii COVID-19.

– Wynaleźliście własną szczepionkę.

– Trzy. Pod tym względem byliśmy w światowej awangardzie. Niestety, bilans covidowych śmierci został gwałtownie zwiększony, bo zabrakło tlenu do respiratorów. Nasze zakłady produkujące tlen medyczny są w złym stanie z powodu braku części zamiennych i w covidzie produkcja się po prostu załamała. Blokada uniemożliwiła Kubie zakup tlenu z USA i utrudniła starania o pozyskanie go z krajów trzecich.

– Czy to prawda, że kubańscy uczeni opracowali także lek na raka?

– Tak, mamy lek na raka płuc. Był on podawany testom w Stanach Zjednoczonych, w Roswell Park stanie Buffalo, z bardzo dobrymi rezultatami. Opracowaliśmy także lek na alzheimera, testowany w Kolorado, wyniki były bardzo obiecujące. Amerykańskie firmy nadal chcą z nami współpracować nad rozwijaniem tych leków, ale rząd im to uniemożliwia.

– To może głupie pytanie, ale jaki jest stosunek Kubańczyków do USA w tej chwili? Pamiętam, że kiedy prezydent Obama zdecydował się na nowe otwarcie w relacjach z Kubą, był tam witany entuzjastycznie.

– Kuba nie żywi żadnych negatywnych uczuć wobec narodu amerykańskiego; jesteśmy krajem miłującym pokój, który pragnie mieć dobre stosunki ze wszystkimi narodami świata, bez wyjątku. Niestety, Ameryka traktuje nas jak kamień w bucie od 1959 r. Nie dlatego, że cokolwiek Amerykanom zrobiliśmy, ale dlatego, że pokazaliśmy, iż możliwy jest inny rodzaj rządzenia państwem w hemisferze, którą Stany Zjednoczone uważają za swoją. Ten przykład, którym Kuba stała się w oczach wielu narodów dążących do suwerenności, także gospodarczej, jest dla Ameryki nie do zniesienia – i od 1959 r. nie było w Stanach Zjednoczonych ani jednego rządu, który by nie zwalczał kubańskiej rewolucji. Obama był o tyle inny, że uznał, iż blokada się nie sprawdziła, więc trzeba znaleźć na podporządkowanie sobie Kuby inny sposób – i owszem, relacje pomiędzy naszymi krajami przejściowo stały się lepsze, przywróciliśmy stosunki dyplomatyczne, podpisaliśmy wiele porozumień, turyści z USA przybywali na Kubę… Ale cel działania był ten sam – i nie było to uznanie naszego prawa do samostanowienia i wyboru własnej drogi.

– Ale to, czego dopuszcza się obecna administracja, jednak nie ma precedensu…

– W skali tak, ale nie w filozofii. W 1960 r. urzędnik Departamentu Stanu Lester Mallory opracował tajne memorandum, w którym odnotował, że większość Kubańczyków popiera rewolucyjny rząd, toteż jedynym sposobem na pozbycie się go jest zaduszenie Kuby: odcięcie jej od pieniędzy i zaopatrzenia, doprowadzenie do obniżenia płac, wywołanie głodu i desperacji. Administracja Trumpa krok po kroku realizuje tę strategię. Blokada Kuby jest nielegalna; stanowi wojnę gospodarczą i działa jako forma kary zbiorowej wobec narodu kubańskiego. A do tego narusza prawo międzynarodowe i prawa handlowe suwerennych państw. Amerykanie próbują też zmusić inne kraje do wywierania presji na własnych obywateli, którzy sympatyzują z naszą sprawą. Sekretarz stanu nakreślił nową koncepcję – „lewicowego terroryzmu” – która ma usprawiedliwiać prześladowanie sił postępowych, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i poza nimi. To ożywienie maccartyzmu lat 50. – tym razem w skali globalnej.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– To jest osobista krucjata Marca Rubio przedstawiającego się jako potomek ludzi, którzy musieli uciekać z Kuby przed komunizmem…

– To kłamstwo, jego rodzice wyjechali trzy lata przed rewolucją, za czasów Batisty – ale Rubio ma obsesję na naszym punkcie. Myślę, że widzi siebie jako prezydenta Kuby.

– To byłaby operacja *regime change* na niespotykaną skalę… Wcześniej Amerykanie osadzali na fotelach przywódców państw Ameryki Łacińskiej różne swoje marionetki, ale członka obecnej administracji nigdy. A skoro już przy tym jesteśmy: na ile możliwa jest, pani zdaniem, wymarzona przez władze USA „zmiana reżimu” na Kubie? Czytałam kiedyś esej Fidela Castro z taką tezą: że mały, izolowany kraj trzeciego świata – jego słowa nie moje, ja nigdy bym Kuby tak nie nazwała – nie byłby w stanie obronić socjalizmu, gdyby jego obywatele tego nie chcieli.

– To jest to, co próbuję wszystkim w Polsce tłumaczyć: rząd nie upadnie dlatego, że ludzie wychodzą na ulicę i walą łyżkami w garnki. Czy Kubańczycy są szczęśliwi z 20-godzinnymi wyłączeniami prądu? Oczywiście, że nie. Czy wyrażają niezadowolenie? Tak, i mają do tego prawo. Ale jeżeli porówna się tragiczną sytuację na wyspie z liczbą protestów – to jest ona stosunkowo niewielka. Ludzie ciągle ufają rządowi; wierzą, że pracuje dla nich. Wiedzą, że sytuacja jest bardzo trudna, ale nadal chcą zachować zdobycze rewolucji i są gotowi czekać na poprawę sytuacji. To już się wydarzyło. Na początku lat 90., po upadku bloku wschodniego, musieliśmy wymyślić się od nowa. Wtedy się udało i teraz też się uda.

Ani rewolucja, ani rządzący nie mogą przetrwać bez poparcia ludzi. Jeżeli ludzie nie będą chcieli tego rządu, będzie musiał odejść. Po prostu.

– Zachodnia propaganda odpowiada na to, że ludzie nie popierają rządu, tylko boją się protestować przeciwko dyktaturze, która więzi setki osób z powodów politycznych.

– Żaden rząd nie może biernie przyglądać się zaburzeniu porządku publicznego. Rząd zawsze będzie reagował wtedy, kiedy dochodzi do wandalizmu – tak jak 11 lipca 2021 r., kiedy opłaceni przez USA demonstranci zaczęli podpalać instytucje publiczne. Oczywiście, że policja musiała działać. Ale jeżeli ktoś stanie na rogu i będzie krzyczeć „¡Abajo la revolución!” – precz z rewolucją – nikt go za to nie zamknie. Za czasów Batisty za okrzyk „¡Qué viva Fidel!” nie szło się do więzienia, tylko dostawało się kulę w łeb na miejscu. Ten rząd tak nie działa.

– Pani Ambasador, dziękuję za rozmowę i wszystkiego najlepszego z okazji urodzin El Comandante.

– To ja dziękuję za możliwość ponownego dotarcia do polskiej opinii publicznej. Po moim poprzednim wywiadzie w „NIE” wiele osób skontaktowało się z ambasadą, aby podziękować za informacje o rzeczywistości na Kubie i wyrazić solidarność w związku z sytuacją, w jakiej znajduje się mój kraj. To było niezwykle miłe.

Rozmawiała **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA**

Blokada w liczbach

- 1400 MW rozproszonej mocy wytwórczej kraju pozostaje niewykorzystane w związku z brakiem paliwa. Przerwy w dostawie prądu wynoszą średnio 20 godzin dziennie.
- 1800 dzieci zmarło w wyniku blokady energetycznej. Współczynnik śmiertelności niemowląt wzrósł z 4,0 na 1000 żywych urodzeń w 2017 r., na początku pierwszej kadencji Trumpa, do 9,9 w 2025 r.
- Do 65 proc. – z 85 proc. – spadł wskaźnik przeżywalności dzieci chorych na raka.
- Ponad 100 tys. Kubańczyków znajduje się na listach oczekujących na planowe operacje. Według danych Ministerstwa Zdrowa Publicznego jest wśród nich 5152 pacjentów onkologicznych i około 12 tys. dzieci.
- 2888 Kubańczyków z przewlekłą niewydolnością nerek nie otrzymuje adekwatnej terapii, która jest uzależniona od dostaw leków, energii, wody i specjalistycznego sprzętu.
- Produkcja 16 szczepionek składających się na Narodowy Program Szczepień – główne osiągnięcie kubańskiego zdrowia publicznego obejmującego miliony kubańskich dzieci – jest poważnie zagrożona. Blokada coraz bardziej utrudnia pozyskiwanie surowców, sprzętu i finansowania niezbędnych do utrzymania krajowej produkcji szczepionek.
- 300 leków z podstawowego koszyka – spośród 395 produkowanych na Kubie – jest obecnie niedostępnych ze względu na brak surowców i produktów farmaceutycznych. Blokada utrudnia też krajową produkcję opracowanych przez kubańskich uczonych narzędzi do diagnostyki, w tym testów do wczesnego wykrywania nowotworów.
- Ponad 100 tys. kubańskich dzieci nie otrzymuje codziennego dotowanego przez państwo litra mleka, głównie z powodu braku paliwa do transportu.
- 6,3 mln dol. – to wartość 170 pojemników z niezbędnymi produktami, które dotarły na Kubę, ale nie trafiły do odbiorców ze względu na niedobory paliwa.
- 11 tys. ton podstawowych artykułów spożywczych leży w magazynach WFP na Kubie.
- 20 kontenerów kubańskiego rumu przeznaczonego na eksport utknęło w kubańskich terminalach portowych po tym, jak z kraju wycofały się dwie główne międzynarodowe linie działające na Kubie – francuska CMA CGM i niemiecki Hapag-Lloyd. Części niezbędne do naprawy elektrowni cieplnej Antonio Guiteras – największej elektrowni cieplnej w kraju – utknęły we Francji.
- Z zarządzania ponad 60 hotelami zrezygnowała kanadyjska firma Blue Diamond; hiszpańskie firmy Meliá i Iberostar zaprzestały zarządzania odpowiednio 15 i 12 hotelami. Turkish Airlines, Iberia, Air Canada, Air France, World2Fly i inne linie lotnicze odwołały loty na Kubę z powodu braku paliwa lotniczego.

eprasa.pl be094cd7ef

Rozwójnicy na brunatno

Morawianie groźniejsi są do Brauna



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

6 sierpnia roku 2026 kaczyński PiS ruszyć ma do politycznej ofensywy. Zgromadzić zwolenników zwiezionych z całego kraju. Aby przekazać im aktualnie obowiązujący program tego prawdziwego PiS-u. Dać też wtedy odpór posłowi Mateuszowi Morawieckiemu i jego rozłamowcom ze stowarzyszenia Rozwój Plus. Wykluczyć ich z polskiej prawicowej rodziny.

Aby partia mówiła jednym głosem, każdy z jej polityków dostał odpowiednie przekazy medialne. Każdy z nich podczas występów w mediach musi, niby tak spontanicznie i żartobliwie, zniekształcać imię Morawieckiego. Z Mateusz na „Zdradeusz". Musi przypominać, że były dwukrotny premier rządów PiS-u tak naprawdę zawsze był doradcą i agentem Donalda Tuska. Agenta Berlina i Brukseli. Szczegóły nowej antymorawieckiej ofensywy trzymane są w tajemnicy. Wedle oficjalnego przekazu – aby zaskoczyć największego teraz wroga. Według wyciekających z PiS-u plotek plan ataku jest nadal w powijakach. Bo dominująca teraz frakcja „maślarzy" zwyczajnie słabsza jest medialnie od secesjonistów Morawieckiego.

Mateusz czarodziej

Morawieckiemu udało się oczarować dziennikarzy. Dzięki zorganizowanej przez niego 31 lipca imprezie towarzysko-programowej, którą obficie relacjonowały liberalne i centroprawicowe media. Zwłaszcza największe telewizje Polsat, TVN i TVP. W tej ostatniej transmitowano nawet całe przemówienia Morawieckiego, choć nie jest on teraz urzędującym premierem, prezydentem czy papieżem.

Przekazy z tego całodziennego wydarzenia budziły wielkie zainteresowanie widzów i internautów. Zwłaszcza kiedy pokazywano i komentowano przybyłych tam gości. Zauważono odzianą w koszulkę z logo stowarzyszenia Rozwój Plus panią Sylwię Sobolewską. Znaną w świecie polskiej polityki jako małżonkę posła PiS-u Krzysztofa Sobolewskiego. Niedawnego sekretarza generalnego tej partii. A także kolekcjonerkę wielce szmalcownych posad w radach nadzorczych spółek skarbu państwa z Orlenem na czele. Zauważono też, ubraną w bezpartyjny uniform, panią Jadwigę Goss. Słynną byłą zausznicę prezesa Kaczyńskiego. Jego osobistą „zielarkę" parzącą mu mikstury kojące rozdygotane nerwy prezesa i prywatną kasę zapomogowo-pożyczkową wspierającą prezesa chwilówkami, kiedy zapominał o potrzebie zgromadzenia szmalu na niespodziewane płatności. Za te zasługi prezes oddał jej władzę w PiS-ie na ziemi łódzkiej. Do tego dostała kilka szmalcownych rad nadzorczych. No i jarłyk, czyli prawo do pobierania składek i podatków na PiS. Kiedy dotarło do prezesa, że pani Jadzia rządzi łódzkim jak car moskiewski, olewając prezesa suwerena, została skazana przez niego na banicję.

Mniejsze zainteresowanie budziła posłanka Paulina Matysiak, niedawno w partii Razem, teraz niezrzeszona. Poszukująca nowego portu komunikacji z wyborcami. Zauważono byłego marszałka Marka Jurka, antyaborcyjnego taliba. Byłego prominenta Platformy Obywatelskiej, ministra i niedoszłego premiera z Krakowa Jana Marię Tadeusza Rokitę. A także jego krakowskiego kolegę, nestora prawicowej publicystyki Bronisława Wildsteina.

Media polskie olały za to obecnego tam rosyjskiego opozycjonistę Garriego Kasparowa. Gościa uznanego przez nie za niepoważnego. Bo to Rusek ormiańsko-żydowskiego pochodzenia jest i do tego jeszcze szachista. Gdyby walczył na gołe pięści w klatkach, to pewnie miałby szansę na swe pięć minut.

Zorganizowany przez morawian grill podobał się liberalnym i centroprawicowym mediom, bo nie było tam typowego dla PiS-u dziaderskiego anturażu. Uczestnicy nie udawali kół gospodyń wiejskich, aktywistów ochotniczych straży pożarnych ani przebranych w sarmackie kontusze działaczy klubów „Gazety Polskiej". Wszyscy wyglądali jak na korporacyjnej imprezie integracyjnej. Łączyło ich wspólne grillowanie, obecnie jedyny obrządek parareligijny, który wyznają i odprawiają wszyscy mieszkańcy Polski niezależnie od ich różnic politycznych, religijnych i narodowościowych.

Sprawności organizacyjnej morawian dowodzi też dyspensa, jaką załatwili od właściwych biskupów katolickich, pozwalająca im jeść zwierzęcą padlinę w piątek, dzień uznawany przez tradycyjnych katolików za postny, czyli bezmięsny. Zapewne ów ludzko i przyjaźnie wyglądający event podniósł poziom sympatii do morawian u grillujących, ale niepraktykujących życia politycznego obywateli III Rzeczypospolitej.

Jednoznaczną wrogość swą okazała im jedynie sakiewiczowska TV Republika i związane z nią pisma. Republika nie relacjonowała eventu morawian, skupiając się na wezwaniach do wpłat datków na swoją działalność. Pozostałe prawicowe, narodowokatolickie media, zwłaszcza firmowane przez rozwiedzionych już ze sobą braci Karnowskich, informowały o wydarzeniu jedynie w szyderczy sposób. I nawet nie cieszyły się z tego.

Słodki sen koalicji

Cieszyli się wiele w polskich mediach politycy rządzącej koalicji. Od lewa do prawa. Z sadystyczną starannością i dokładnością cytowali słowne kłótnie wrogich pisowskich frakcji, komentując rozłam w tej partii. Zwłaszcza że kłótnie odwracały uwagę polskiej opinii publicznej od błędów koalicji rządzącej. Zachowującej się teraz jak chłop, który śpi, a w polu samo mu rośnie. Czasem nawet politycy koalicji, podobnie jak sprzyjające im media, okazywali sympatię rozłamowcom Morawieckiego. Jako tym, którzy wreszcie zaczęli dożynać stary PiS i jej prezesa. Byt pożyteczny na polskiej scenie politycznej.

To prawda, że prezentujący się jako technokraci morawianie wydają się nowocześniejsi i sympatyczniejsi od posła Czarnka. Przemawiającego o „czterech pancernych i psiecku", „półbabach i półchłopach", „OZE-sroze". Zwłaszcza kiedy Morawiecki mówi o „patriotyzmie przyszłości", choć „zakorzenionym w przeszłości", który zdecyduje, czy państwo polskie wygra w „geopolitycznej dżungli".

Przyjrzyjmy się, jak rozwójnicy od Morawieckiego chcą rozwiązać dwa problemy, które podczas grilla uznali za szczególnie ważne.

– Migracja jest elementem współczesnego świata. Można się przed nią bronić, nieskutecznie, można ją wykorzystać – rzekł Morawiecki. Zamiast pajacowatego Ruchu Obrony Granic rozwójnicy proponują, by sejm uchwalił spójną politykę migracyjną. Polegającą na przyjmowaniu tylko tych migrantów, których potrzebują polscy przedsiębiorcy. Przyszłych pracowników. Każdy z przyjętych powinien mieć w internecie indywidualne „konto migranta". Będą tam informacje, gdzie on pracuje, mieszka, odpoczywa, jeśli akurat nie pracuje. Będzie o tym, jak wydajnie pracuje i jakie zasady współżycia właśnie złamał. Nie będzie miał statusu i pełni praw ludzkich. Jedynie prawo do pracy i prawo bycia wyzyskiwanym przez polskiego pracodawcę.

Jeśli ów pracownik zechce być w Polsce w człowiekiem, musi wpierw zostać Polakiem. Musi się zasymilować. Bez żadnych, nawet śladowych, oznak rodzimej kultury. Będzie musiał nie tylko nauczyć się języka polskiego, ale też przyjąć polskie zwyczaje, religię, style życia. Wszystkie jego postępy w takiej polonizacji będą odnotowywane na jego „koncie migranta". Jeśli w Polsce coś nabroi albo zatrzyma się w asymilowaniu, to od razu wpadnie w surowe ręce nowej specsłużby wzorowanej na amerykańskiej policji migracyjnej ICE. Wtedy polscy ICE deportują lub zastrzelą nieproduktywnego obcego. Aby rozwiązać spadek dzietności w Polsce, jeden z liderów rozwójników poseł Marcin Horała proponuje prostą receptę: wypłacaną przez trzy lata każdej kobiecie po urodzeniu dziecka pensję rodzinną. Niezależnie od jej stanu materialnego. Po co tworzyć skomplikowane polityki budowania żłobków, przedszkoli, aktywizacji zawodowej matek, skoro można dać kasę do ręki. Zwłaszcza że gotówkę łatwiej jest wydrukować niż stworzyć systemy opieki przedszkolnej czy zdrowotnej.

Kiedy koalicja, zwłaszcza jej lewicowe skrzydło, zacznie podczas kampanii wyborczej prezentować programy aktywizacji zawodowej kobiet, używając fachowego języka, to rozwójnicy zaproponują kasę do ręki. Prostymi i przekonywującymi wyborców słowami. Znów wygra kasa.

Cóż z tego, że ona, tak jak kiedyś ta z 500 plus, demografii w Polsce nie poprawi. To znów okaże się dopiero po latach.

Gorsi od Brauna

Nowa formacja polityczna Morawieckiego proponuje wiele rozwiązań bliskich Konfederacjom. Nawet tej braunowskiej. Lansuje braunizm w wersji soft podanej w mediach elegancko. Dlatego te ultraprawicowe, faszyzujące programy morawianie mogą łatwiej wprowadzić w życie.

Grzegorz Braun ciągle jest happenerem i politycznym gadułą. Jego drużyna to zbiór świrujących antysystemowców. Ludzie Morawieckiego to politycy zaprawieni w administrowaniu państwem. Oni już rządzili. Wiedzą, jak to się robi. Mogą też wiedzieć, jak unikać popełnionych kiedyś błędów.

Morawiecki będzie teraz przede wszystkim walczył z „systemem tuskizmu". Zapowiedzieli na 15 października kolejnego politycznego grilla. Będą wtedy morawianie rozliczać rządzącą koalicję. Przede wszystkim premiera Tuska i jego KO z realizacji obiecanych przez nich 100 postulatów na pierwsze 100 dni. Eksponować wszystkie niepowodzenia rządu Tuska po trzech latach ich rządów.

Morawianie chcą jak najszybciej wyrwać się z wewnętrznych sporów w PiS-ie. Rywalizować ze starym PiS-em jedynie w przodownictwie pracy na rzecz krytykowania i plugawienia wrażego Tuska. Proponowaniu Polsce autorytarnych, brunatnych rządów. Pokazywaniu prezydentowi Nawrockiemu, że mogą być w tym lepsi od PiS-u i wszystkich Konfederacji.

Hej, koalicjo Tuska! Jeszcze zatęsknicie za starym, październikowym, nieskutecznym kaczyńskim PiS-em.

PIOTR GADZINOWSKI

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Przed posiedzeniem Komitetu Politycznego Prawa i Sprawiedliwości Karol Karski, rzecznik dyscyplinarny PiS-u, siedząc, wpatruje się w magnetyczne oczy prezesa Kaczyńskiego.

– Idzie Karolek po drabinie, fiku-miku, już jest w kominie – mamrocze prezes monotonnie. – Ruch bez oka, jak w kość sroka, jak słup soli, nic nie boli. Będę liczył od jednego, przy siedmiu Karolek będzie spał jak suseł. Jeden, dwa, trzy…

Karski patrzy jak sroka w kość nieruchomo jak słup soli. Przy siedmiu zapada w letarg.

– W sprawie rebeliantów morawieckich Karolek nie będzie miał nic do powiedzenia – mruczy Kaczyński. – Ani do zrobienia.

– Nic a nic – powtarza Karski i tak się rzeczywiście dzieje.

• • •

Po posiedzeniu Komitetu Politycznego PiS-u Karski siedzi i ucieka wzrokiem przed hipnotycznym spojrzeniem prezesa. Obiecuje sobie, że tym razem nie da się uśpić: przy słowie „drabinie" skrzyżuje palce.

– Idzie Karolek po turbinie, fiku-miku, już jest w kominie – szepcze prezes.

„Powiedział »turbinie«, wprowadził mnie w błąd" – panicznie myśli Karski.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Ruch bez oka, jak w kość sroka, jak słup soli, nic nie boli. Będę liczył od jednego, przy siedmiu Karolek będzie smacznie spał. Jeden, dwa, trzy…

Przy siedmiu Karski śpi jak leniwiec.

– Odszczepieńców morawieckich Karolek będzie wzywał i namawiał do pozostania w partii – cicho rozkazuje Kaczyński, a rzecznik dyscyplinarny wie, że tak się stanie.

Wtem wtrąca się Rafał Bochenek, rzecznik prasowy PiS-u: – Każdą sprawę Karolek będzie rozpatrywał indywidualnie.

„Takiego wała!" – myśli przez sen Karski. „Mogę dać się hipnotyzować prezesowi, ale nie jakiemuś Bochenkowi".

Mimo to potulnie kiwa głową.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl be094cd7ef

Produkt finansowy

Nowa polityka mieszkaniowa Nowej Lewicy

Rząd znalazł nowy sposób na zlikwidowanie biedy mieszkaniowej: weź kredyt! Do wykazu prac legislacyjnych Rady Ministrów trafił projekt pozwalający zaciągnąć pożyczkę na partycypację w kosztach budowy mieszkania przez towarzystwa budownictwa społecznego (TBS) albo społeczne inicjatywy mieszkaniowe (SIM). Państwo nie wybuduje za te pieniądze lokatorowi mieszkania ani nawet nie dopłaci mu do rat. Bank Gospodarstwa Krajowego zagwarantuje spłatę kredytu, dzięki czemu zwykła pożyczka konsumencka ma kosztować mniej więcej tyle, ile kredyt hipoteczny.

Ministerstwo przedstawia to jako otwarcie społecznego budownictwa dla ludzi, którzy nie mają kilkudziesięciu tysięcy złotych na wejściu. Kredyt będzie można spłacać przez 15 lat zamiast obecnych 10. Odpowiedzialny za projekt wiceminister rozwoju i technologii Tomasz Lewandowski z Nowej Lewicy zapewnia, że miesięczna rata nie powinna przekroczyć 300–400 zł. Ta liczba wygląda ślicznie w komunikacie prasowym, lecz znacznie gorzej się ją liczy.

Przy oprocentowaniu zbliżonym do obecnych kredytów hipotecznych rata kredytu w wysokości 50 tys. zł rozłożonego na 15 lat wyniesie około 410–420 zł. Przy 100 tys. zł wzrośnie do 820–845 zł, a przy 150 tys. przekroczy 1200 zł miesięcznie. Ministerialne 300–400 zł wystarczy zatem na kredyt wynoszący najwyżej około 36–49 tys. zł. I to bez prowizji, ubezpieczenia oraz innych kosztów bankowych. Tymczasem partycypacje mogą sięgać 30 proc. kosztów budowy lokalu, czyli 100 tys. zł i więcej. Albo minister policzył ratę dla wyjątkowo małej partycypacji, albo liczył na to, że nikt nie wyjmie kalkulatora.

Najważniejszy jest jednak drobiazg, który w rządowej opowieści łatwo zgubić. Kredytobiorca nie kupuje za te pieniądze mieszkania ani nawet udziału w budynku. Finansuje kawałek inwestycji należącej do spółki, aby otrzymać prawo podpisania umowy najmu. Potem płaci czynsz, z którego TBS lub SIM pokrywa między innymi raty własnego kredytu zaciągniętego w BGK na budowę tego samego bloku. Formalnie kredyt spłaca oczywiście spółka. Pieniądze biorą się jednak z czynszów mieszkańców, bo prezesi TBS-ów nie wydobywają ich w kopalni pod siedzibą zarządu.

Powstaje zatem konstrukcja wspaniała w swojej piętrowości. Lokator zaciąga osobisty kredyt, żeby wpłacić partycypację. Następnie w czynszu finansuje spłatę zobowiązania zaciągniętego przez właściciela budynku. Po kilkunastu lub kilkudziesięciu latach oba kredyty mogą być spłacone, lecz mieszkanie nadal należy do TBS-u albo SIM-u. Najemca zostaje z satysfakcją, że skutecznie pomógł zgromadzić majątek publicznej spółce.


Rys. HENRYK CEBULA

Lewandowski niedawno tłumaczył, że nie każdy musi być właścicielem mieszkania, a kredyt hipoteczny przywiązuje człowieka do miejsca i ogranicza jego zawodową mobilność. Teraz proponuje 15-letni kredyt konsumencki, który przywiąże go do mieszkania niebędącego jego własnością. Różnica jest taka, że po spłacie hipoteki człowiek zostaje z lokalem, a po spłacie partycypacji nadal zostaje z umową najmu. Mobilność polskiego pracownika najwyraźniej najlepiej rozwija się wtedy, kiedy pracownik spłaca cudzy majątek.

Fundacja ObywatelTBS podsumowała projekt słowami: „Nie chcieliśmy, a dostaliśmy". Rząd umożliwi ludziom zaciągnięcie kredytu, aby mogli zostać wiecznymi najemcami, chociaż nadal nie określił porządnie praw partycypantów. Organizacja od dawna domaga się przejrzystego rozliczania czynszów, kontroli nad działalnością spółek oraz obniżenia opłat po spłacie kredytu przypisanego do danego budynku. Mieszkańcy nie mają przy tym instrumentów nadzoru podobnych do tych, którymi przynajmniej formalnie dysponują członkowie spółdzielni.

Partycypacja jest co do zasady zwracana i waloryzowana po opuszczeniu lokalu, lecz spółka może mieć na wypłatę nawet 12 miesięcy. Nie zmienia to podstawowego problemu: człowiek pożycza prawdziwe pieniądze, natomiast otrzymuje za nie zależność od warunków umowy, przyszłych podwyżek czynszu i decyzji zarządu. Gwarancja BGK chroni przede wszystkim bank i pozwala mu taniej wycenić ryzyko. Nie jest umorzeniem długu ani prezentem dla lokatora.

Nowa Lewica wie, że ludzie są za biedni, aby kupić mieszkanie, a coraz częściej również za biedni, aby wpłacić partycypację. Nie wyciąga z tego wniosku, że państwo powinno budować więcej mieszkań komunalnych, do których wchodzi się na podstawie dochodu i potrzeby, a nie zdolności kredytowej. Lewandowski proponuje poszerzenie dostępu do TBS-ów i SIM-ów poprzez poszerzenie dostępu do długu. Bieda nie zostanie więc zlikwidowana. Zostanie uznana przez bank i rozłożona na 180 rat.

TBS-y i SIM-y są dla władzy znacznie wygodniejsze od budownictwa komunalnego. Lokator wpłaca partycypację, spłaca w czynszu kredyt zaciągnięty na budowę, a politycy mogą przeciąć wstęgę przed mieszkaniem społecznym, za które państwo ani samorząd nie musiały w całości zapłacić. Przy okazji powstają spółki, zarządy i rady nadzorcze obsadzane przez gminy oraz Krajowy Zasób Nieruchomości. System produkuje więc nie tylko mieszkania, lecz także stanowiska dla ludzi obracających się wokół władzy.

Sama budowa może być wspierana publicznym gruntem, bezzwrotnym grantem sięgającym 45 proc. kosztów oraz preferencyjnym kredytem BGK dla spółki. Teraz kolejnym źródłem finansowania ma być kredyt zaciągnięty przez przyszłego najemcę. Społeczny charakter mieszkania polega więc na tym, że państwo, samorząd i lokator składają się na budowę, ale kontrolę nad gotowym majątkiem zachowuje zarząd spółki.

Nowa Lewica nadal powtarza hasło: „mieszkanie prawem, nie towarem". Prawo, do którego potrzebna jest zdolność kredytowa, stutysięczna partycypacja i zgoda zarządu, zaczyna jednak podejrzanie przypominać towar, tyle że sprzedawany bez własności.

Mieszkanie komunalne jest prawem, ponieważ obywatel nie musi kupować biletu wstępu do publicznego zasobu. TBS i SIM w wydaniu Lewandowskiego stają się produktem finansowym.

Najpierw należałoby określić prawa partycypanta, ujawniać saldo kredytu przypisanego do budynku, pokazywać mieszkańcom, jaka część czynszu służy jego spłacie, oraz zagwarantować odpowiednią obniżkę po wygaśnięciu zobowiązania. Dopiero do tak zabezpieczonego systemu można zapraszać kolejne rodziny.

Rząd postąpił odwrotnie. Nie naprawił pułapki, tylko zaproponował tańszy kredyt na bilet wstępu. Dzięki temu również człowiek bez oszczędności będzie mógł finansować budowę mieszkania, spłacać ją w czynszu i przez 15 lat oddawać pieniądze bankowi. Wszystko po to, aby bezobjawowa lewica mogła pochwalić się polityką mieszkaniową, która nie zmieni układu sił na rynku. TBS-y i SIM-y finansowane w znacznej części przez samych lokatorów nie stworzą publicznego zasobu na tyle dużego, by obniżyć czynsze, ceny mieszkań i zmusić deweloperów do konkurowania z państwem. Deweloperski rynek pozostanie więc nietknięty, a biedniejsi dostaną kredyt na urządzenie się gdzieś obok niego.

DAMIAN DUSZCZENKO

Nie klikajcie Kaczorowi!

Matematyka uwagi

Komentujecie w sieci drżączkę Kaczyńskiego i wyskoki „Pinokia"? Z pewnością im miło, że rozkręcacie kampanię poparcia dla prawicy.

Rozpad PiS-u na dwa zajadle atakujące się obozy przynosi wiele uciechy ludowi i politykom tuskowego plemienia. Liberałowie instynktownie reagują z nieskrywanym entuzjazmem na polityczny rozwód w rodzinie ich odwiecznego wroga. Być może zbyt wcześnie. Nawet sondaże z uwzględnieniem czterech komitetów prawicowych – Konfederacji, Korony, PiS-u i Rozwoju Plus – pokazują, że taka koalicja miałaby obecnie w sejmie większość. Co więcej, gdy struktury partyjne tradycyjnej prawicy ulegają erozji, technologia nie faworyzuje konkretnego szyldu, lecz matematyczny mechanizm maksymalizacji użytkownika. Prawica nie mogła sobie wymarzyć lepszego startu kampanii wyborczej.

Media społecznościowe docierają do ponad 90 proc. internautów i pochłaniają niemal połowę spędzonego przez nich w sieci czasu. 59 proc. użytkowników wyszukuje w nich informacje, zamiast przedzierać się przez tradycyjne wyszukiwarki czy portale. Systemy rekomendacyjne platform, czyli TikToka, Facebooka czy X – jak to się fachowo mówi – optymalizują dystrybucję treści pod funkcję celu opartą na przewidywanym zaangażowaniu, a nie wartości informacyjnej. Tłumacząc z fachowego na ludzki: choć PiS jako partia ponosi koszt wizerunkowy burdelu, algorytm masowo niesie te treści dalej. Beneficjentem nie staje się gnijąca partia-matka, lecz formacje zakorzenione w tym środowisku internetowym, jak np. Konfederacja.

Dlaczego się tak dzieje? Algorytm śledzi, przy czym internauci zatrzymują się najdłużej. Dla systemu liczy się zaangażowanie. Im większa awantura, tym więcej ludzi biegnie cytować, prostować czy oburzać się na kolejną prowokację. Albo robić sobie jaja. Niemal każdy komentarz, niezależnie od tego, czy jest neutralny, negatywny czy pozytywny, podbija zasięgi. Algorytmy social mediów nie oceniają intencji ani emocji komentujących w sposób, który miałby obniżyć widoczność posta w ramach kary za np. szerzenie nienawiści. Wręcz przeciwnie. Obrzucanie gnojem dyskutantów jest pożądane. Post, który zmusza internautów do reakcji, jest promowany. System uznaje, że warto pokazać go innym użytkownikom. W ten sposób internauci, którzy radośnie nakurwiają komentarzami, są zgrabnie przekierowywani przez algorytmy do klastrów liderów takich jak Krzysio Bosak czy Sławomir Mentzen. Platforma uznaje, że skoro użytkownik zagotował się pod jedną wiadomością, powinien zobaczyć, co odtańcowuje się u reszty z tej tematycznej bańki.

Rywalizacja różnych odłamów partii prawicowych o ten sam elektorat zmusza polityków do licytowania się na najbardziej polaryzujące hasła, które internetowy ekosystem nagrodzi największymi zasięgami. Dlatego wyświetlenia idące w miliony mają takie gwiazdy jak Grzegorz Braun czy Dariusz Matecki. Gdyby Donald Tusk napisał na X: „Swołocz kpi ze śp. św. Jana Pawła II na festiwalu organizowanym za pieniądze fundacji Owsiaka, na którą zbierają dzieci pod kościołami" (to akurat wpis Mateckiego), też by nastukał 12 tys. wyświetleń.

Wyszarpywanie kawałków cyfrowego zaplecza zmusza partie do tworzenia nowych kanałów i zwiększa widoczność prawicowej ideologii w sieci. W realiach współczesnego marketingu politycznego to skuteczny start kampanii. To nie wszystko.

Przez publiczne pranie się po gębach prawica całkowicie zdominowała serwisy informacyjne i debaty w sieci, spychając działania rządu na dalszy plan. Przekaz prawusów oparty na ostrym sporze politycznym jest prostszy w odbiorze i szybciej grzeje algorytmy niż urzędowe komunikaty o – dajmy na to – wdrażaniu ustaw. Prace rządu czy reformy giną w natłoku emocjonalnych pomlemik i tematów zastępczych narzucanych przez sieć, w tym także media informacyjne.

Portale internetowe, zarówno prywatnych, jak państwowych wydawców, szybko załapały, że albo wejdą do gry, albo nie będzie ich wcale. Jeśli Onet napisze, że „w partii Jarosława Kaczyńskiego trwają intensywne przetasowania", w newsa nie kliknie nawet usypiający z nudy stróż parkingowy. Inaczej ma się sprawa z nagłówkiem: „Cena rozpadu PiS. To może upokorzyć Kaczyńskiego". Ludzie zrobili się na tyle leniwi, że rzadko kiedy czytają cały tekst. Wolą filmiki albo krótkie komunikaty, którymi mogą sobie urozmaicić czas, siedząc na kiblu. Żeby wspomniany tekst w ogóle trafił do internauty scrollującego media społecznościowe, muszą go podbić algorytmy. Jeśli tytuł artykułu jest wystarczająco prowokujący, gównoburza pod postem zrobi się sama. Im więcej osób zobaczy post, tym większa szansa, że ktoś w ten temat kliknie. Może nawet przeczyta materiał. Dla portalu internetowego każde wyświetlenie oznacza wpływ z reklam. W ten sposób w świecie cyfrowym zakorzenia się słynna klikbajtoza.

Pod koniec lipca w Głuchołazach otwarto zmyty dwa lata temu przez powódź most. Gówno to kogo obeszło. Natomiast o wycieku nagrania z przesłuchania Kaczyńskiego piszą wszyscy. To tzw. bezpłatne zasięgi organiczne. Partie, zamiast wydawać miliony na płatne reklamy wyborcze, generują gigantyczny ruch w sieci za darmo. Przy okazji konflikt pozwala różnym frakcjom sprawdzać w czasie rzeczywistym, które hasła i tematy budzą największe emocje wyborców, bez ryzyka wizerunkowego dla całej formacji. Walka w cyfrowym kisielu zmusza też polityków do kreowania przekazu, który trafi do najmłodszych odbiorców. Na medialną wędkę złapią się też wyborcy niezdecydowani.


Rys. MARCIN CHUDZIK

Grupa znużona do twardego rzygu wygładzonym językiem tradycyjnej klasy politycznej może uznać, że

ostra i bezkompromisowa retoryka polityków prawicy to dowód na autentyczność i uwagę. Potwierdzenia tej teorii nie trzeba daleko szukać, wystarczy spojrzeć w stronę pałacu prezydenckiego.

Inny przykład: gdy prawica bije na alarm w kwestii nielegalnych migrantów i rozpadu (póki co rzekomego) państwa, u osób niezdecydowanych uruchamia się mechanizm psychologiczny zwany awersją do ryzyka. Nawet umiarkowany Kowalski pod wpływem silnego komunikatu o zagrożeniu może uznać, że skoro czasy są niepewne, potrzebny jest twardy gracz, a nie przylizany laluś ze znajomością języka francuskiego.

Niezdecydowani wyborcy to często osoby, które nie interesują się polityką na co dzień. Mają w pompie nudne raporty gospodarcze czy programy publicystyczne. Można rzec, że informacje docierają do nich przypadkiem – głównie przez wspomniane social media. Agresywny komunikat prawicy jest jedynym, który w ogóle ma szansę do takiego wyborcy trafić między filmem ze śmiesznym kotkiem i nekrologiem zapleśniałej gwiazdy pop. Sprawdza się stara zasada marketingu: „nieważne, co mówią, ważne, żeby nie pomylili nazwiska" – prawica zyskuje przewagę czystej rozpoznawalności.

Rodacy, nie róbcie dobrze prawicy. Zamiast zostawić komentarz w internecie, kupcie papierową gazetę i podyskutujcie o polityce z sąsiadem przy flaszce.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl be094cd7ef

Niedobiegli

Sądy w Polsce nie działają i jeszcze długo działać nie będą

Można oczywiście dalej urządzać KOD-owskie rekolekcje o neosędziach, KRS-ach, izbach, uchwałach, składach, testach niezawisłości i innych atrakcjach ustrojowej archeologii. Tyle że nawet gdyby jutro rano wszyscy sędziowie okazali się prawidłowi, wszyscy prezesi apolityczni, a każda wokanda pachniała konstytucyjnością, to i tak bez uregulowania sprawy biegłych mnóstwo procesów stanie w miejscu.

Król Ćwieczek się kłania

Biegły sądowy to nie ozdobnik, to człowiek, który ma wiedzę specjalistyczną. Coś, czego sędzia mieć nie musi i najczęściej nie ma. Ma być niezależny, obiektywny, bezstronny, wolny od nacisków stron, wiarygodny, weryfikowalny, spójny i jeszcze ma pisać tak, żeby sędzia, prokurator, adwokat oraz obywatel nieposiadający doktoratu z kryptografii, medycyny sądowej albo konstrukcji żelbetowych zrozumieli, o co chodzi. W budowlance ma policzyć opóźnienia, koszty, roboty dodatkowe, wady, usterki, waloryzację i roszczenia. W informatyce ma zrobić kopie binarne dysków, przeanalizować telefony, logi, malware'y, blockchainy, kryptowaluty i deepfaki. W medycynie ma odpowiedzieć, czy ktoś leczył, czy udawał leczenie, w psychiatrii – czy oskarżony wiedział, co robi, a w sprawach rodzinnych – czy dziecko można komuś powierzyć. A potem za tę całą odpowiedzialność dostaje czasem niewiele ponad 30 zł brutto za godzinę. Odpowiedzialność oznaczającą różnicę między uniewinnieniem a kilkoma latami więzienia.

Żeby system działał, potrzeba ponad 20 tys. biegłych. Przed dekadą było ich ok. 18 tys. W 2024 r. zostało ok. 13 tys. Sama liczba lekarzy sądowych spadła w rok z 222 do 196, a w 11 okręgach sądowych nie ma już ich wcale albo jest zbyt mało. Niedobór dotyczył w 2024 r. 10 okręgów, rok później – już 11.

Minimalna stawka biegłego to żart. Ekspert od cyberprzestępczości może w sądzie dostać około 32 zł za godzinę, maksymalnie zwykle około 44 zł (w szczególnie skomplikowanych sprawach 68,51 zł), doktor – ok. 63 zł, doktor habilitowany – 76 zł, profesor – 96 zł. Na rynku prywatnym konsultant bierze 150–300 zł za godzinę, a ekspert potrafi dostać 3500 zł za dzień pracy. Państwo chce więc, żeby człowiek umiejący analizować włamania, szyfrowanie, kryptowaluty, telefony i deepfaki robił to za stawkę, za którą nie znajdzie się kogoś do naprawy zmywarki.

Potem wszyscy są zdziwieni, że opinii nie ma. Sąd najpierw szuka biegłego, który w ogóle się zgodzi. Optymistycznie zakłada na to 2–3 miesiące. W praktyce opinia przychodzi po 4–6 miesiącach. Medyczna trwa 3–6 miesięcy, kolegialna – ok. roku, w sprawach błędów lekarskich – ponad rok. Prosta ekspertyza informatyczna może zająć kilka dni, ale sprawa z wieloma nośnikami, szyfrowaniem i analizą sieci potrafi ciągnąć się ponad pół roku ciągłej pracy. Do tego dochodzą papierowe akta. Biegły musi osobiście jechać do sądu, odebrać teczki, pokwitować, zabrać je do siebie, a sąd zostaje bez akt. Jak biegły zachoruje, obrazi się, zniknie albo uzna, że za 30 zł brutto nie będzie się śpieszył, to sprawa stoi. Zdarza się, że akta leżą u niego sześć miesięcy, opinia nie powstaje, sąd nakłada grzywnę, grzywna nie przyspiesza niczego, a obywatel może sobie ćwiczyć cierpliwość obywatelską.

Potem biegły pisze opinię, drukuje ją, zanosi do sądu, sąd trzyma ją 1–3 miesiące, potem wysyła papier Pocztą Polską, pełnomocnik skanuje papier, żeby jego klient odczytał plik, który na początku też był plikiem. W jednej sprawie sąd kazał zrobić dodatkowe 12 egzemplarzy opinii, co kosztowało 1148,76 zł. Gdyby opinia była od razu PDF-em, obieg dokumentów mógłby trwać około trzy dni. Ale przecież wtedy z procesu zniknęłoby to, co w polskim wymiarze sprawiedliwości najświętsze – papier, pieczątka, koperta i podpisana listonoszowi zwrotka.

Biurokracją w biurokrację

Ministerstwo wie, że jest dramat, ogłosiło więc wielką reformę biegłych, a projekt oznaczono symbolem UD265. Reforma ma kosztować ok. 300 mln zł. Bo według Waldemara Żurka dziś „brakuje spójnego systemu". To prawda. Tyle że w Polsce nie ma spójnego systemu w ochronie zdrowia, mieszkalnictwie, szkolnictwie czy transporcie publicznym. Ale tylko resort sprawiedliwości wpadł na pomysł, że jak stworzy wielką cyfrową tabelkę z nazwiskami ekspertów, to nagle sądy zaczną działać jak szwajcarski zegarek.

Ministerialna diagnoza wygląda mniej więcej tak: najlepsi biegli mają wielomiesięczne kolejki, sądy nie wiedzą, kogo powoływać, a prywatne firmy produkują opinie „masowo, drogo i bez audytu". Czyli odkryto coś, co wie każdy adwokat od 20 lat. Tyle że zamiast zapytać, dlaczego poważny specjalista miałby marnować życie na pisanie opinii za stawki uwłaczające godności człowieka, postanowiono stworzyć Państwową Komisję Certyfikacyjną. Bo jak wiadomo, nic tak nie poprawia jakości pracy specjalistów jak kolejny urząd.

Reforma Żurka polega głównie na produkcji nowych procedur. Będzie Krajowy Rejestr Biegłych, będą certyfikaty ważne przez pięć lat, obowiązkowe szkolenia minimum 15-godzinne, elektroniczna legitymacja w aplikacji mObywatel, Rada Biegłych i certyfikacja instytucji opiniujących. Zabrakło tylko hymnu biegłego i sztandaru.

Projekt ustawy o biegłych utknął jednak na pieniądzach. Koszt zmian w pierwszym roku oszacowano na 1,86 mld zł. Resort finansów się na to zbiesił. Wejście ustawy przesunięto na 1 stycznia 2027 r., a podwyżki mają być rozłożone w czasie.

Najzabawniejsze, że szykowana reforma może zmniejszyć liczbę biegłych. Bo jeżeli państwo dołoży im certyfikację, szkolenia, dokumentację, obowiązki, kontrolę, ocenę opinii i nie dołoży do tego godnych pieniędzy, to część ludzi po prostu sobie pójdzie. Rocznie powstaje około 400 tys. opinii. Komisja certyfikująca ma liczyć 15 osób. Biegłych jest około 13 tys., potrzeba ponad 20 tys., a certyfikacja miałaby wracać co pięć lat. Wychodzi z tego fabryka papierów, która ma naprawić zator spowodowany papierami.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

...a prawnicy żyli dostatniej

Reforma przedstawiana jest jako odpowiedź na dramatyczne opóźnienia w sądach. Tylko że sam resort przyznaje, iż problem polega na tym, że postępowania „czekają na opinię biegłego", a potem jego opinia „generuje kolejne pytania". Innymi słowy, nawet ministerstwo rozumie, że problemem nie jest brak ekspertów w bazie danych, ale sama konstrukcja procesu sądowego. Sędzia dostaje opinię, strona ją kwestionuje, więc powołuje się kolejnego eksperta, potem instytut, potem opinię uzupełniającą, potem biegły idzie na zwolnienie, a potem przechodzi na emeryturę albo umiera. I wszystko zaczyna się od nowa.

Ale oczywiście łatwiej zrobić cyfrowy katalog ekspertów niż powiedzieć obywatelom prawdę. A prawda jest taka, że polskie sądownictwo jest skonstruowane dokładnie odwrotnie niż powinno. Nie chodzi w nim o szybkie ustalenie faktów, tylko o proceduralne zabezpieczenie każdego urzędnika przed odpowiedzialnością.

Biegły nie ma pomóc sądowi dojść do prawdy. Biegły ma umożliwić sędziemu napisanie w uzasadnieniu: „oparł się na opinii specjalisty". To jest cały sens istnienia tej instytucji.

Dlatego nawet najbardziej absurdalne ekspertyzy funkcjonują latami. Bo sędzia nie chce ryzykować samodzielnego myślenia. Woli dostać 300 stron bełkotu z pieczątką profesora niż własnym nazwiskiem podpisać prostą decyzję. A skoro tak, to centralna baza ekspertów niczego nie zmieni. Tak samo jak nie zmieniły niczego tysiące wcześniejszych reform sądów, prokuratur i kodeksów.

Reforma stworzy dokładnie to samo, co każda polska reforma – nową biurokrację. Powstaną komisje, procedury, etaty koordynatorów, będą konferencje o standaryzacji opinii, będą prezentacje w PowerPoincie o transparentności procesu eksperckiego. Być może nawet powstanie raport wykazujący wzrost efektywności o 17,3 proc. I tylko obywatel nadal będzie czekał trzy lata na wyrok rozwodowy i pięć lat na zakończenie sprawy gospodarczej. Czyżby dlatego, że im dłużej trwa sprawa, tym więcej zarabiają prawnicy żyjący z przeciągania postępowania?

TADEUSZ JASIŃSKI

Żurek laurek

Rok nie wyrok

Waldemar Żurek podsumował sobie rok pracy na stanowisku ministra sprawiedliwości z jednoczesnym zatrudnieniem na etacie prokuratora generalnego. Wypuścił plik PDF na 112 stron do swobodnego pobrania ze strony resortu. Pobierajcie!

Co stało za tą publiczną laurką? Wersje są dwie. Albo przestraszył się swojego pryncypała Donalda Tuska, który żądny krwi Ziobry, Romanowskiego i różnych Mateckich ciągle obchodzi się smakiem. Albo szef rządu sam mu to zasugerował, bo fala krytyki za „brak spektakularnych sukcesów" w domenie zarządzanej przez ministra wzbiera nie tylko w elektoracie uśmiechniętej koalicji, ale również w ławach rządowych i parlamentarnych.

Niesłusznie, naszym zdaniem, bo Żurek, jak muł walcząc o zmiany, trzyma się jednak prawa i

jeśli coś mu nie wychodzi – a nie wychodzi – to przecież na skutek obstrukcji, jaką serwuje mu Karol Nawrocki poprzez veta, a nie z powodu jego lenistwa i braku determinacji.

Kije w szprychy reformy wymiaru sprawiedliwości wkłada mu na dokładkę idąca na przeczekanie rządu Tuska, odsunięta od koryta część pisowskich prokuratorów z jeszcze większą liczbą tych, co koniunkturalizm mylą z rozwagą, pragmatyzmem i racjonalnością, a nie ze zwyczajnym brakiem cywilnej odwagi. Znamy takich i wiemy, że głowy za Waldemara Żurka nie położą.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ciekawostką w tym rejestrze sukcesów, planów i zamierzeń, którym przeciwstawia się konsekwentnie Batyr, jest niewielki passus poświęcony „trudnym decyzjom". Do nich według Żurka należała sprawa aktora Piotra Zelta, który w czasie największego kryzysu humanitarnego na polsko-białoruskiej granicy nazwał ówczesną rzeczniczkę prasową Straży Granicznej (niech jej personalia zostaną zapomniane) „twarzą bestialskich, bandyckich standardów państwa". Funkcjonariuszka, która zwykle z dezynwolturą wypowiadała się o push backach, wytoczyła mu proces o znieważenie. Apelacja prokuratury skutecznie jednak położyła kres chęci wsadzenia Zelta za kraty.

Wycofanie z sądu apelacji prokuratury – o czym pisaliśmy w „NIE" jako pierwsi – od wyroku, który uniewinniał piątkę z Hajnówki, a więc wolontariuszy, którzy karmili i obuwali migrantów na granicy, to inna „trudna sprawa".

Trzecią sprawą, o którą z wątpliwościami zatroszczył się minister, to historia dożywotniaka Piotra Pytla. Facet odsiedział już 22 lata w Niemczech i Polsce za rozbój i zabójstwo, którego – jak twierdzi uparcie – nigdy nie popełnił. Do Kancelarii Prezydenta trafił z resortu sprawiedliwości wniosek o zastosowanie wobec niego prawa łaski. I Nawrocki jak raz 3 sierpnia Pytla ułaskawił.

Reasumując: czy jest się czym chwalić? A dlaczego nie? Przy Waldemarze Żurku jego poprzednik na stanowisku Adam Bodnar to – z całym szacunkiem dla pana profesora – miękka faja. Ta przypomniana więc w autolaurce lista sukcesów to 14 wniosków o uchylenie immunitetów i 1137 precyzyjnych zarzutów karnych postawionych w śledztwach dotyczących afer z udziałem urzędników. To również 28 osób, w tym byłych ministrów i szefów służb, objętych statusem „głównych architektów w prowadzonych śledztwach" oraz 71 osób objętych aktami oskarżenia w sprawach dotyczących głośnych afer, m.in. Collegium Humanum, afery wizowej i funduszu sprawiedliwości.

Kto da więcej?

JMP

eprasa.pl be094cd7ef

SŁOWO CZERWONE

Brunatna fala

Komu potrzebni są imigranci

GUS podaje, że w Polsce pod koniec czerwca 2026 r. liczba ludności spadła o 159 tys., a w dwa i pół roku ubyło 246 tys. osób. W Polsce mieszka obecnie 2,3 mln obcokrajowców, z czego 73 proc. to Ukraińcy. Większość Ukraińców pracuje (83 proc). Dla porównania, wskaźnik aktywności zawodowej Polaków wynosi 59 proc. Istnieje duża szansa, że nawet połowa spośród 1,7 mln imigrantów z Ukrainy zdecyduje się w Polsce osiedlić. Wystąpią o obywatelstwo i wtopią się w naszą tkankę społeczną. Ich dzieci już dziś chodzą do polskich szkół, gdzie uczone są naszej wersji historii.

Ale są tacy, którzy chcą temu procesowi integracji i asymilacji zapobiec. Osiłek, który pobił ukraińską dziewczynę, bo usłyszał, że mówi ze wschodnim akcentem, nie jest odosobnionym przypadkiem. Jest cała masa chłopców z siłowni obnoszących się z napisami „Śmierć wrogom ojczyzny", którzy już tych wrogów znaleźli – Ukraińców. Ich chuligaństwo i skłonność do przemocy znalazły swoją ideologię. Z bandytów awansowali na obrońców ojczyzny.

Polska ksenofobia zaczęła się od uchodźców z Globalnego Południa. W napuszczaniu na ludzi o innym kolorze skóry brylują troglodyci w rodzaju Janusza Kowalskiego wzywającego do deportacji z Polski wszystkich Ukraińców, ale są także lumpeninteligenci w rodzaju pewnego eksperta od Bliskiego Wschodu, który opowiada w swym podkaście, że imigranci z Afryki się nie myją.

Nie tylko Polska, ale i większość Europy brunatnieje. Po ostatnim incydencie migracyjnym na granicy Maroka z hiszpańską kolonią Ceutą faszystka Meloni ogłosiła, że zamknie granicę, choć od Hiszpanii dzieli ją jeszcze Francja, a migranci z Maroka opuścili już Ceutę i wrócili do siebie. Jak słusznie zauważyła przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, żaden z nich nie zdołał przedostać się do kontynentalnej Hiszpanii. Narzekali, że w Ceucie sklepy były pozamykane i nie można było kupić nic do jedzenia.

Prawie wszyscy obcokrajowcy są w Polsce legalnie, jako uchodźcy wojenni albo sprowadzeni tu przez biznes do pracy. A mimo to prawicowe media wciąż straszą garstką nielegałów. Straszą też, że ten ewentualny milion naturalizowanych Ukraińców może nas wynarodowić.

Deficyt rąk do pracy jest w Europie tak wielki, że wciąż trwają dyskusje, kto nam tych Ukraińców zabierze. Niemcy? Czesi? Na razie nigdzie się nie wybierają. Najwidoczniej spodobało im się w Polsce. Ale rozkręcana na potrzeby wyborcze nacjonalistyczna nagonka na przybyszów z Ukrainy może ich stąd wypchnąć. A wtedy będziemy mądrzy jak Brytyjczyk po szkodzie.

Brexit dokonał się, bo Brytyjczyków nastraszono, że zaleje ich imigracja. W rezultacie Polacy i inni przybysze z Europy Wschodniej wyjechali, a w ich miejsce sprowadzono imigrantów z Globalnego Południa. Brexit miał dać Wielkiej Brytanii pełną kontrolę nad migracją. 10 lat po referendum liczba przyjezdnych jest jednak rekordowa, a eksperci wskazują, że kolejne rządy postawiły na potrzeby gospodarki.

Ceuta i Melilla to dwie hiszpańskie eksklawy w Afryce. Czas, by zniknęły. To właśnie hiszpański i portugalski kolonializm sprawiły, że kraje Ameryki są biedne. Pisał o tym szczegółowo Urugwajczyk Eduardo Galeano w swej znakomitej książce „Otwarte żyły Ameryki Łacińskiej". Dziś ten dług Hiszpania zdaje się spłacać, legalizując pobyt ponad miliona imigrantów z Ameryki Łacińskiej. Nie czyni tego bezinteresownie. Ci ludzie są niezbędni hiszpańskiej gospodarce, tak jak niezbędni są imigranci z Afryki, bez których uprawa ziemi byłaby niemożliwa z powodu zmian klimatycznych.

W Polsce system jest na tyle wyluzowany, że cudzoziemcy podejmują pracę niemal z marszu. Inaczej jest w Niemczech, gdzie istnieje cała masa barier biurokratycznych, prawnych, które ten moment podjęcia pracy opóźniają. Nacjonaliści postrzegają imigrację wyłącznie jako ciężar i zagrożenie. Biznes widzi w tym wybawienie i szansę na tanią siłę roboczą. Imigranci widzą szansę na nowe, godne życie.

Oficjalnie deportacje z Europy już się zaczęły. Mimo to ludzie wsiadają na łodzie i płyną przez Morze Śródziemne do Europy, mimo że jeden na 120 tonie.

Większość Polaków żyje na styk. Od pierwszego do pierwszego. Nie mają oszczędności. Nie istnieje też państwo opiekuńcze. Jak ktoś spada, to na samo dno. Stąd niskie poczucie bezpieczeństwa. Ta niepewność tworzy podatny grunt dla różnych fobii. Najpierw szczuto na biednych, żeby nikt nie zaczął zadawać kłopotliwych pytań o przyczyny tej biedy. Ludzi zalegających z rachunkami załatwiano jednym słowem: patologia. Teraz fobia przeszła na obcych. W myśl zasady, że jesteśmy od nich lepsi, bo urodziliśmy się w Polsce.

Ukraińców oskarża się kłamliwie o uprzywilejowanie w dostępie do zasiłków, mieszkań, opieki medycznej. W ten sposób jednak nie da się wytłumaczyć patologii choćby Szpitala Południowego czy całej naszej ochrony zdrowia.

Ludzie powinni zrozumieć, że nawet gdyby wszyscy Ukraińcy zgodnie z życzeniem posła Kowalskiego wyjechali z Polski, dla biednych Polaków niczego by nie wystarczyło, bo to kraj dla bogatych.

PIOTR IKONOWICZ



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Mieszkanie zasłużone

Truskolaski dla Poczobuta

Andrzej Poczobut w świetle kamer, w obecności prezydenta Białegostoku i wojewody podlaskiego, złożył wniosek o mieszkanie z zasobów Komunalnego Towarzystwa Budownictwa Społecznego, spółki miejskiej. Ma je dostać błyskawicznie, w ciągu trzech tygodni – tako rzekł włodarz Białegostoku Tadeusz Truskolaski.

Co ciekawe, w tym mieszkaniu mają pomieszkiwać jego studiująca w Polsce córka, a w przyszłości również osobisty syn. Sam ciemiężony przez Baćkę dziennikarz i opozycjonista, jak zadeklarował publicznie, ma się w nim zatrzymywać tylko od czasu do czasu, zwykle podczas podróży do Polski z rodzinnego Grodna. Gdzie, zgodnie z wolą zakomunikowaną w mediach, zaraz po uwolnieniu z więzienia w ramach wymiany szpiegów w Białowieży kilka miesięcy temu, będzie żył i pracował. Dla dobra Polaków ze Związku Polaków na Białorusi, do którego należy.

Historia jest wzruszająca. Oto człowiek prześladowany przez reżim Łukaszenki znajduje schronienie w Polsce. Państwo pomaga i bardzo dobrze. Samorząd chce pomóc jeszcze bardziej i to też można zrozumieć. Problem zaczyna się wtedy, gdy pomoc przestaje wyglądać jak pomoc, a zaczyna przypominać pokazowy numer iluzjonisty: „Patrzcie, wszystko odbywa się zgodnie z procedurą", podczas gdy publiczność zastanawia się, gdzie zniknął królik.

Bo jeśli mieszkanie komunalne ma służyć komuś, kto będzie w nim mieszkał tylko okazjonalnie, a faktycznymi lokatorami mają być inni członkowie rodziny, to pojawia się pytanie nie o współczucie, lecz o sens całej konstrukcji. Mieszkanie jest dla najemcy czy dla jego biografii? Dla osoby spełniającej kryteria czy dla symbolu?

Nikt rozsądny nie kwestionuje zasług Andrzeja Poczobuta ani tego, że zasługuje na wsparcie. Ale państwo prawa różni się od państwa uznaniowego właśnie tym, że nawet najszlachetniejszy cel musi przejść przez te same drzwi co każdy inny obywatel. Jeśli przepisy są niewygodne, zmienia się przepisy. Jeśli procedury są zbyt sztywne, zmienia się procedury. Nie udaje się natomiast, że wyjątek jest regułą tylko dlatego, że wyjątek dobrze wygląda na konferencji prasowej.

Najbardziej fascynujące jest jednak to, że wszyscy zapewniają o skrupulatnym przestrzeganiu formalności. Komisja, rada nadzorcza, uchwały, opinie i ta cała procesja pieczątek. W Polsce uwielbiamy ceremoniał legalności. Im więcej podpisów, tym mniej pytań. A przecież nawet najbardziej elegancko zapakowana decyzja nadal pozostaje decyzją, którą można oceniać nie tylko pod względem formalnym, ale również pod względem równego traktowania. Bo

co powiedzieć człowiekowi, który od miesięcy czeka na mieszkanie, spełnia wszystkie kryteria i słyszy, że musi cierpliwie stać w kolejce? Że jego życiorys był zbyt mało medialny? Że powinien najpierw zostać bohaterem międzynarodowych wiadomości?

W systemie dystrybucji mieszkań komunalnych kolejka ma być nudna jak flaki z olejem właśnie po to, żeby była sprawiedliwa.

Cała sprawa pokazuje odwieczną polską skłonność do rządzenia przez wyjątki. Zamiast jasno powiedzieć: „Tak, chcemy stworzyć specjalny program pomocy dla osób represjonowanych przez reżimy takie i inne", łatwiej jest przekonywać, że wszystko dzieje się w zwykłym trybie. To trochę tak, jakby twierdzić, że czerwony dywan jest po prostu bardzo szerokim chodnikiem.

Jeżeli wszystkie ustawowe warunki zostaną w tym przypadku rzeczywiście spełnione, a procedura zostanie przeprowadzona zgodnie z prawem, trudno będzie mówić o bezprawiu. Ale legalność to nie to samo co przejrzystość ani poczucie sprawiedliwości. A gdy politycy zaczynają tłumaczyć, że wszystko odbywa się „dokładnie według zasad", warto odruchowo sprawdzić, czy przypadkiem nie dopisują właśnie kolejnego przypisu drobnym drukiem.

W Polsce bowiem najłatwiej zostać równym wobec prawa wtedy, gdy jest się wystarczająco wyjątkowym.

JMP



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WIEŚCI GMINNE i INNE

Główny Inspektorat Sanitarny doznał olśnienia. Okazuje się, że tężnie solankowe – ołtarze miejskiego relaksu, przy których emeryci i młode matki wdychają rzekome zdrowie – to w istocie rozpylacze gówna w sprayu. Badania przeprowadzone zapewne z wielkim obrzydzeniem wykazały, że w solankowej mgle unoszą się bakterie kałowe. To, co miało leczyć płuca, jest w rzeczywistości destylatem z odchodów gołębi, wróbli i okolicznych kundli, które pod tężniami załatwiają potrzeby. Wdychanie rozpylonego łajna, jak słusznie zauważyli eksperci, nie należy do czynności prozdrowotnych, chyba że ktoś planuje wyhodować w sobie florę bakteryjną godną szamba. Miłego wypoczynku.

W Gdańsku Wrzeszczu dwóch dżentelmenów urozmaicało sobie stanie w korku wzajemnym doprawianiem się gazem pieprzowym. Zamiast tradycyjnej wiązanki łaciny podwórkowej w wybuchu drogowej wściekłości postawili na dialog chemiczny. Jeden prysnął, drugi oddał, obaj postali w chmurze przypraw, po czym jeden odjechał, zapewne szukać mleka do przemycia oczu. Policja, która o sprawie dowiedziała się tradycyjnie z internetu, a nie z własnej czujności, teraz „analizuje materiał". Krótko mówiąc: dwóch idiotów, zero zgłoszeń i kupa śmiechu dla przechodniów. To się nazywa gdańska kultura jazdy.

Dyrekcja wrocławskiego zoo wykazała się zupełnie niepotrzebną odpowiedzialnością. Amator mocnych wrażeń zapragnął pogłaskać tygrysa na własny rachunek. Zamiast pozwolić naturze na przeprowadzenie szybkiej selekcji zoo zaczęło publikować w mediach społecznościowych nudne pouczenia o tym, że drapieżnik to nie pluszak. To błąd pedagogiczny. Należało po prostu uchylić furtkę i patrzeć przez palce. Prawda jest bowiem prosta: tygrysa pogłaskać można, ale zazwyczaj jest to czynność jednorazowa. Gdyby zoo pozwoliło na bliskie spotkanie z naturą, problem głupich pytań rozwiązałby się sam – w malowniczo krwawy sposób.

Polak w Alpach to zawsze zwiastun kłopotów, zwłaszcza gdy ma 78 lat i wiarę w elektronikę. Nasz dzielny emeryt, sterując swoim Volvo niczym pancernym zagonem, wbił się na górski szlak pieszy, kończąc rajd jako urocza dekoracja wąskiej kładki. Zawisł podwoziem nad przepaścią, zmuszając niemieckie służby do czterogodzinnej gimnastyki z użyciem ciężkiego sprzętu. Niemiecka policja, pozbawiona poczucia humoru, wszczęła postępowanie mandatowe, ale ja patrzę na to z uznaniem należnym asom wywiadu. To była genialnie tania operacja rozpoznawcza. Za cenę jednego mandatu i kilku rys na lakierze ustaliliśmy dwa kluczowe fakty strategiczne: po pierwsze, niemieckie systemy naprowadzania są warte tyle co obietnice ich kanclerzy, a po drugie, bawarskie szlaki są całkowicie odporne na inwazję. Skoro pancerne Volvo poległo na kładce, to żaden czołg tamtędy nie przejdzie.

Zakopane to wodociągowa pustynia. Od 2022 r. odnotowano tam 11 dużych awarii, w tym ostatnią 29 lipca przy ul. Strążyskiej. System projektowany dla 30 tys. stałych mieszkańców regularnie pęka pod naporem 400 tys. turystów. Władze miasta od lat jedynie odnotowują kolejne usterki, przyznając, że sieć nie przystaje do skali najazdu gości. Pod Giewontem pewne są tylko dwie rzeczy: wysokie ceny i brak wody w kranie. Omijać.

Bałtyk, nasze mętne bajoro, bierze odwet na turystach. Niemcy raportują o dwóch trupach (na razie tylko niemieckich) i 14 zakażeniach wibrionami – bakteriami, które w ciepłej wodzie mnożą się szybciej niż króliki. Fakty są mało apetyczne: jeśli masz powyżej 75 lat, cukrzycę lub słabe serce i wejdziesz do nagrzanego morza z niezagojoną raną, ryzykujesz, że zainstalujesz sobie w organizmie sepsę. Krótko: dla schorowanych staruszków Bałtyk przestał być uzdrowiskiem, a stał się darmową i złośliwą eutanazją. W każdym razie, tak twierdzą Niemcy, a z nimi to, jak wiadomo, nigdy nic do końca nie wiadomo.

System kaucyjny to ordynarny skok na kasę pod zielonym sztandarem. Konsumenci już „podarowali" systemowi 650 mln zł, bo 70 proc. butelek nie wróciło do sklepów. Prawdziwy szwindel polega jednak na tym, że koszty funkcjonowania tego cyrku – 3 mld zł rocznie – są już wliczone w cenę napojów. Płacisz za ten biurokratyczny mechanizm przy każdym zakupie, a kaucja to tylko dodatkowa danina dla tych, którym nie chce się stać w kolejce do automatu. Haracz od pragnienia.

W państwie rządzonym przez logikę odwrotną czysta woda jest towarem luksusowym z 23-procentowym VAT-em, a słodzone pomyje jadą na ulgach. Firma Nałęczów Zdrój, producent wody Cisowianki, skarży się w Brukseli na „nierówne zasady", dyskretnie milcząc o tym, że do swojej wody nie muszą dosypywać przecież drogiego cukru. Prawda jest jednak brutalna: jeśli Cisowianka zalega na półkach, to nie przez fiskus, tylko przez swój smak, który jest – delikatnie mówiąc – równie porywający co lektura instrukcji gaśnicy. Pozywanie skarbu państwa za własną mierność to nowa, wyższa forma biznesowego tupetu. Gratuluję samopoczucia.

Sejm i prezydent Nawrocki ustanowili dzieciom cyfrowy post, zamieniając szkoły w rezerwaty analogowej nudy. Od września smartfon w szkole staje się towarem zakazanym bardziej niż papierosy w czasach naszej młodości. To popis wyjątkowego politycznego tchórzostwa: parlamentarzyści gnębią tę jedyną grupę społeczną, która nie może im oddać przy urnach. Zanim dzisiejsze przedszkolaki zyskają prawo do wyborczej zemsty, Nawrocki będzie już tylko martwym hasłem w Wikipedii, a reszta dręczycieli będzie trawić sute emerytury, śmiejąc się swoim dawnym ofiarom w twarz. To bezpieczny sadyzm – bić tych, którzy nie mają prawa głosu.

35-letni obywatel Ukrainy udowodnił, że słynny niemiecki porządek można włożyć między bajki, jeśli tylko ma się podrobiony papier i odrobinę tupetu. Mężczyzna po prostu wjechał do fabryki, podał się za kierowcę i wywiózł 171 rowerów elektrycznych wartych pół miliona złotych. Niemieccy logistycy musieli mieć miny równie nietęgie co ich system zabezpieczeń. Złodzieja w końcu dopadli w Budomierzu polscy pogranicznicy, ale rowery – jak to w dobrym kryminale – wyparowały. Niemcy chcą złodziejowi dać 10 lat, co wydaje się uczciwą ceną za tak spektakularne ośmieszenie ich narodowej dumy z organizacji pracy.

RJ

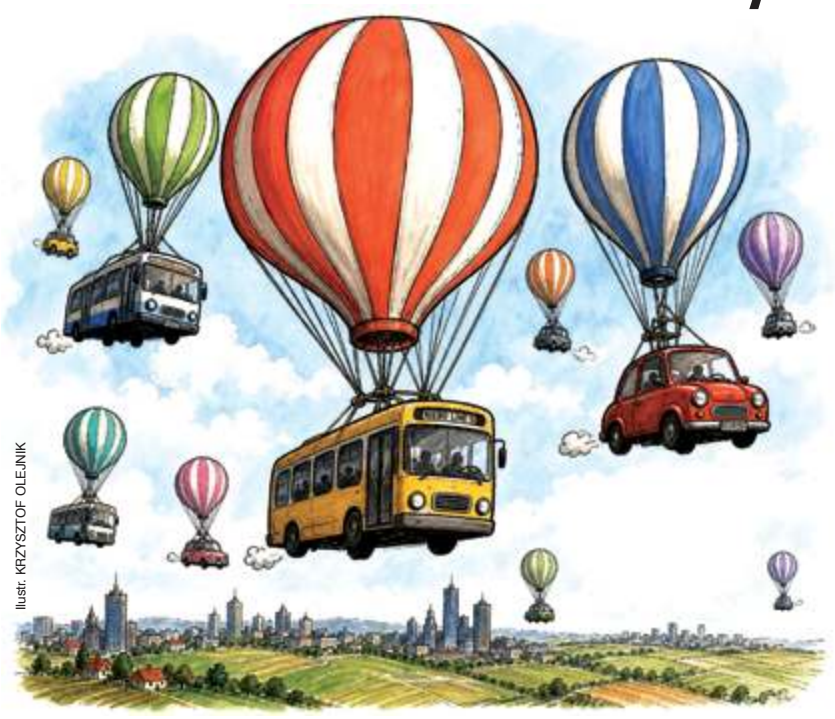
PS Informacje pochodzą z prasy lokalnej. W związku z tym mogą odbiegać od stanu faktycznego, a nawet od zdrowego rozsądku. Zaleca się ich odbiór z ostrożnością właściwą osobom posiadającym doświadczenie życiowe. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności prawnej ani moralnej za ich treść, prawdziwość ani kompletność.

eprasa.pl be094cd7ef

Pic na wodór

Czasami strasznie trudno być euroentuzjastą

Jeszcze kilka lat temu wodór miał być odpowiedzią na wszystko. Na emisję dwutlenku węgla, uzależnienie od rosyjskiego gazu, transport ciężki, autobusy miejskie. Wystarczyło dodać do nazwy projektu przymiotnik „zielony”, dołączyć kilka zdjęć błękitnego płomienia i elektrolizera, a gdzieś w Brukseli otwierały się kolejne szuflady z miliardami euro. Tymczasem dzisiaj mnóstwo projektów wodorowych kończy nie na uroczystym przecięciu wstęgi, lecz komunikacie o zawieszeniu inwestycji, rezygnacji z produkcji albo zwrocie unijnych dotacji.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Bomba wodorowa

Polskie doświadczenia pokazują to z wyjątkową brutalnością. Jeszcze w zeszłym roku wiele miast przedstawiało autobusy wodorowe jako symbol nowoczesności. Szybko jednak okazało się, że cena jednego kilograma wodoru potrafiła wahać się od około 55 do nawet 85 zł. Przekładało się to na koszt przejechania 100 km sięgający od około 460 zł do ponad tysiąca. W Rybniku wyliczono, że eksploatacja autobusu wodorowego kosztuje ponad trzykrotnie więcej niż autobusu z silnikiem Diesla i około czterokrotnie więcej niż autobusu hybrydowego. W Koninie porównania z autobusami bateryjnymi również wypadały dla wodoru wyjątkowo niekorzystnie. W Rzeszowie oszacowano, że samo paliwo dla 20 autobusów w okresie 15 lat może kosztować ponad 120 mln zł, a więc więcej niż zakup całej floty.

Na tym jednak problemy się nie kończyły. W całej Polsce funkcjonowało zaledwie kilka publicznych stacji tankowania wodoru. W Tychach pięć autobusów wodorowych musiało dojeżdżać na tankowanie do Katowic. Puste przejazdy oznaczały dodatkowe zużycie paliwa, czas pracy kierowców oraz koszty szacowane nawet na około 400 tys. zł rocznie. Były to pieniądze wydawane wyłącznie po to, aby autobus mógł dojechać do miejsca, w którym dopiero zacznie wykonywać swoją właściwą pracę.

W Wejherowie budowa stacji tankowania kosztowała około 12,9 mln zł, choć miała obsługiwać zaledwie sześć autobusów. W innych miastach pojawiały się podobne dylematy. Czy budować kosztowną infrastrukturę dla niewielkiej liczby pojazdów, czy kupować kolejne autobusy, które bez tej infrastruktury nie będą mogły normalnie funkcjonować? Ale infrastruktura nie opłaca się bez odpowiednio dużej liczby użytkowników, a użytkownicy nie pojawią się bez infrastruktury.

Do kosztów doszły również problemy eksploatacyjne. W Chełmie bardzo niskie temperatury utrudniły normalne funkcjonowanie części floty. W Poznaniu i Wałbrzychu zanieczyszczony wodór doprowadził do wyłączenia z ruchu znacznej liczby autobusów na blisko dwa tygodnie. Każda taka sytuacja oznaczała konieczność uruchamiania pojazdów rezerwowych, zmianę rozkładów jazdy i kolejne wydatki.

Coraz bardziej zmieniało się również nastawienie samych samorządów. Jeszcze pod koniec 2024 r. 21 miast apelowało do rządu o dopłaty do zakupu wodoru, szacując potrzebne wsparcie na od około 150 do nawet 500 mln zł rocznie. Sama skala tych oczekiwań była najlepszym dowodem, że bez dalszych publicznych pieniędzy utrzymanie technologii staje się coraz trudniejsze. Wrocław, Żory i Piotrków Trybunalski zaczęły odchodzić od wcześniejszych planów. Gdańsk i Gdynia ograniczyły swoje ambicje. W Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii część pieniędzy przesunięto z autobusów wodorowych na zakup autobusów elektrycznych. Nie dlatego, że ktoś przestał wierzyć w ochronę klimatu. Dlatego, że arkusz kalkulacyjny okazał się mniej podatny na entuzjazm niż konferencje prasowe.

Tymczasem autobus nie jest eksperymentem. Ma codziennie wyjechać z zajezdni, zabrać pasażerów i wrócić zgodnie z rozkładem jazdy. Pasażerów interesuje to, czy pojazd przyjedzie na przystanek, a nie to, z jakiego programu został sfinansowany.

Dotacjom dziękujemy

Unijna strategia zakładała produkcję do 2030 r. 10 mln ton odnawialnego wodoru na terenie Unii oraz import kolejnych 10 mln ton spoza wspólnoty. Zielony wodór powstaje dzięki elektrolizie, czyli rozbijaniu wody na tlen i wodór przy użyciu energii elektrycznej. Sam proces jest znany od dawna i jest kosztowny.

Jeżeli energia elektryczna jest droga, drogi staje się również wodór. Jeżeli do tego dochodzą wydatki na sprężanie, magazynowanie, transport i budowę infrastruktury, rachunek zaczyna przypominać bardziej kosztorys programu kosmicznego niż przedsięwzięcia transportowego.

Nic więc dziwnego, że gdy przyszło do podpisywania realnych kontraktów, wielu inwestorów zaczęło wycofywać się rakiem. Według najnowszych analiz Międzynarodowej Agencji Energetycznej deklarowana produkcja projektów wodorowych znajdujących się w przygotowaniu spadła z około 49 do 37 mln ton rocznie. Europa w ciągu jednego roku zobaczyła, jak ponad jedna piąta planowanych mocy została odłożona albo całkowicie skreślona.

Austriacki projekt Green Ammonia Linz miał produkować 7 tys. ton zielonego wodoru rocznie i otrzymać blisko 50 mln euro wsparcia. Zrezygnowano z niego. Niemiecki HydroHub Fenne planował produkcję niemal 9 tys. ton wodoru rocznie. Nie znalazł wystarczającej liczby odbiorców. LEAG odłożył budowę ogromnego kompleksu H2UB Boxberg. ArcelorMittal zrezygnował z wartego 2,5 mld euro programu przestawienia dwóch niemieckich hut na wodór, mimo że projekt miał otrzymać około 1,3 mld euro publicznych dopłat. Hiszpańska Iberdrola obcięła swoje cele produkcji zielonego wodoru z około 350 tys. ton rocznie do około 120 tys. ton, redukując ambicje niemal o dwie trzecie. Repsol również ograniczył swoje plany, tłumacząc to opóźnieniami rynku i niepewnością regulacyjną. Shell zrezygnował z projektu w Norwegii. Equinor ograniczył kolejne przedsięwzięcia. Neste wycofało się z projektu w Finlandii. Lista przestała mieścić się na jednej stronie.

Reuters wyliczył, że tylko w 2025 r. na świecie anulowano albo odłożono dziesiątki dużych projektów wodorowych. W innym zestawieniu mowa jest o blisko 60 dużych przedsięwzięciach o łącznej planowanej produkcji około 4,9 mln ton rocznie. Z kolei analitycy śledzący rynek wodoru wskazują, że od początku dekady anulowano projekty odpowiadające co najmniej 126,5 GW planowanej mocy elektrolizerów, z czego ponad 80 GW stanowiły inwestycje znajdujące się jeszcze na etapie ambitnych zapowiedzi.

Zielone się nie spina

Podobnie rzecz wygląda po stronie producentów samochodów na wodór. Koncern Stellantis planował rozpoczęcie seryjnej produkcji dostawczych samochodów z ogniwami paliwowymi w zakładach w Gliwicach i francuskim

Déjà vu z Bydgoszczy

Bydgoska PESA mówi dziś o rekordowym portfelu zamówień przekraczającym 15 mld zł. Firma uzyskała finansowanie sięgające nawet 6,8 mld zł potrzebne do realizacji nowych kontraktów. Produkuje pociągi regionalne, lokomotywy oraz tramwaje, zdobywa kolejne zamówienia i ponownie zaczyna być przedstawiana jako jedna z wizytówek polskiego przemysłu.

Najbardziej spektakularnym wydarzeniem ostatnich tygodni jest jej ekspansja na rynek niemiecki. PESA przejęła bowiem producenta tramwajów HeiterBlick z Lipska. Niemieckie media podkreślały nawet, że dzięki wejściu inwestora z Polski udało się uratować około 250 miejsc pracy i zapewnić dalszą produkcję tramwajów. „Leipziger Volkszeitung” zwrócił uwagę, że przez dziesięciolecia to niemieckie koncerny przejmowały przedsiębiorstwa w Europie Środkowej, a tym razem role się odwróciły. Przytoczono dane mówiące, że w 2025 r. polskie przedsiębiorstwa uczestniczyły już w 22 dużych przejęciach firm w Europie Zachodniej. Jednym słowem brawa, fanfary i werble.

Jednak na miejscu pracowników PESY chyba pora zacząć się bać. Bo zachwyty nad PESĄ już były. Firma uchodziła za ucieleśnienie cudu gospodarczego rządów PO–PSL, a media rozpływały się w zachwytach nad gigantycznym portfelem zamówień firmy. Spółkę stawiano za wzór nowoczesnej gospodarki. Jej pociągi i tramwaje trafiały do Niemiec, Czech, Włoch, na Litwę czy do Kazachstanu. Politycy fotografowali się na tle nowoczesnych składów, eksperci opowiadali o polskiej myśli technicznej i przekonywali, że oto wyrósł nam narodowy czempion zdolny rzucić rękawicę Siemensowi, Bombardierowi czy Alstomowi. Ta porcja uniesień okazała się wówczas na tyle niestrawna, że firma de facto splajtowała. Czy więc dzisiejsze peany i ci sami niemal rządzący co wtedy znamionują powtórkę?



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Dopust urodzaju

Żeby jednak zrozumieć, skąd wzięła się późniejsza zapaść PESY, trzeba cofnąć się do czasów, gdy firma była jeszcze głaskana po głowie. Brała wszystko, co leżało na przetargowym stole, a potem coraz częściej okazywało się, że nie ma dość zębów, pazurów, ludzi, pieniędzy, homologacji, części i świętej cierpliwości zamawiających, żeby to wszystko wykonać. W grudniu 2015 r. PKP Intercity zaczęło naliczać bydgoskiej firmie kary za opóźnienia w dostawie 19 składów Dart. W grę wchodziło „kilkadziesiąt tysięcy złotych dziennie za każdy pociąg”, a nad wszystkim wisiało 600 mln zł unijnej dotacji, którą trzeba było ratować porozumieniem zawartym w ostatniej chwili. Same Darty kosztowały 1,3 mld zł.

Chwilę potem Kraków naliczył PESIE ponad 26 mln zł kary za nieterminową realizację dostaw 36 tramwajów Krakowiak. Tramwaje Warszawskie naliczyły PESIE 35 mln zł kary za opóźnienia oraz za to, że tramwaje okazały się cięższe, niż przewidywała specyfikacja. Chodziło o 80 składów. Wcześniej ten sam warszawski zamawiający naliczył około 13 mln zł kar za pojazdy Tramicus i Swing. Jak widać, PESA zdobywała rynek, ale równocześnie zostawiała za sobą ogon sporów, kar i pretensji, a im większy był kontrakt, tym większy cień padał na reputację firmy.

Ale kłopoty z polskimi zamawiającymi to było i tak nic. Najboleśniejszy dla firmy okazał się niemiecki kontrakt na pociągi Link dla Deutsche Bahn. W 2016 r. media informowały, że PESA miała oddać niemieckiemu przewoźnikowi 45 pociągów, lecz ich nie dostarczyła. Karę media wyszacowały na 600 mln zł. W lutym 2019 r. Linki zaprezentowano we Frankfurcie, a ostatnie pojazdy dla DB wyjechały z Bydgoszczy dopiero 29 września 2020 r.

Do tego doszła Moskwa – rosyjska stolica zamówiła 120 tramwajów Fokstrot. Pierwszy pokazano w lutym 2014 r., a dostawy miały ruszyć w marcu. Moskwa odebrała tylko połowę zamówienia, a pozostałych 60 pojazdów PESA musiała trzymać na terenie bydgoskiego zakładu, bo po załamaniu kursu rubla moskiewskiego przewoźnika nie było już stać na dalsze odbiory i płatności. Firma szukała więc klienta na tramwaje, które miała kupić Rosja. To zaś pokazuje, że PESA nie tylko nie panowała nad terminami, ale też nie miała pojęcia o ryzyku w kontraktach zagranicznych.

Kolejne lata przynosiły następne spory. Województwo śląskie sądziło się z PESĄ o kary umowne za opóźnienia dostaw Elfów 2, bo producent nie zgodził się z ich wysokością. Pojawiła się sprawa Szybkiej Kolei Miejskiej, gdzie bydgoskiej firmie groziło 40 mln zł kary po opóźnieniach w dostawie 13 pojazdów. Nawet Bydgoszcz potrąciła ponad 28 mln zł za opóźnienia w dostawie tramwajów, a potem sąd nakazał zwrócić połowę tej kary z odsetkami. Prezydent Bydgoszczy mówił wtedy: „Walczymy dalej o przyzwoitość i pieniądze mieszkańców”. Trudno o większą złośliwość losu niż sytuacja, w której lokalna duma miasta idzie z tym miastem na sądową wojnę o pieniądze mieszkańców.

Najgorsze dla PESY było jednak nie to, że spóźniała się raz czy drugi. Każdemu producentowi może się zdarzyć poślizg, szczególnie w branży, w której pojazd musi przejść dopuszczenia, testy, odbiory i jeszcze pasować do torów, peronów, prądu, sygnalizacji oraz widzimisię zamawiającego. Problem polegał na skali. W 2018 r. media pisały już o setkach tramwajów z wadami seryjnymi, o naprawach, z którymi producent nie nadążał, oraz o kosztach remontów i kar idących w setki milionów złotych. W przypadku Krakowiaków lokalne media przypominały później, że od września 2015 r. do listopada 2016 r. liczba reklamacji przekroczyła 1700, a problemy dotyczyły elektroniki, napędów, drzwi, klimatyzacji, informacji pasażerskiej i spraw mechanicznych.

Światowa myśl techniczna

Jest jeszcze jedna rzecz, o której przy opowieściach o narodowym czempionie mówi się ciszej. PESA bywa przedstawiana jako zakład, który od śrubki do pantografu tworzy polski pojazd szynowy, a tak nie jest. PESA projektuje, spawa pudła, składa pojazdy, prowadzi odbiory, integruje systemy i bierze odpowiedzialność za całość, ale mnóstwo najważniejszych podzespołów pochodzi od wyspecjalizowanych firm. Szwajcarski koncern ABB chwalił się, że tramwaje PESY dla Gorzowa Wielkopolskiego były wyposażone w jego nowoczesne silniki trakcyjne. Siemens Mobility informował, że dostarcza urządzenia pokładowe ETCS dla polskich producentów pojazdów szynowych. Hamulce były marki Knorr-Bremse, a polski Medcom podawał, że projektował, produkował i wdrażał kompletne systemy napędowe dla setek tramwajów PESY. I nie ma w tym nic wyjątkowego, bo tak działa dzisiejszy przemysł. Tyle że

burzy to bajkę, wedle której PESA jest samotnym polskim geniuszem, który w Bydgoszczy z kawałka stali i patriotyzmu robi gotowy pociąg. W rzeczywistości firma jest integratorem:

sprowadza silniki, hamulce, elektronikę, napędy, systemy bezpieczeństwa, klimatyzację, aparaturę sterującą, fotele, drzwi, oprogramowanie i setki innych elementów, po czym skręca je w jeden pojazd, który potem musi działać jako całość. To wymaga wiedzy, inżynierów

eprasa.pl be094cd7ef

Hordain. Miały pojawić się modele przeznaczone dla klientów flotowych, którzy według wcześniejszych prognoz mieli masowo przechodzić na wodór. Stało się dokładnie odwrotnie. W lipcu 2025 r. firma ogłosiła zakończenie programu. Powód? „Rynek wodoru pozostaje segmentem niszowym, bez perspektyw średnioterminowej opłacalności ekonomicznej”.

W Polsce jeszcze niedawno zakładano, że do połowy dekady powstaną co najmniej 32 stacje tankowania wodoru. Liczono, że po drogach będzie jeździło od 100 do 250 autobusów wykorzystujących to paliwo, a kilka lat później nawet około tysiąca. Równolegle uruchamiano kolejne konkursy Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, w których na rozwój infrastruktury przeznaczano dziesiątki milionów złotych. Zainteresowanie okazało się jednak znacznie skromniejsze od oczekiwań. Część planowanych stacji nigdy nie powstała. Część inwestorów wycofała się z przedsięwzięć. Samorządy zaczęły zmieniać zamówienia, zastępując autobusy wodorowe elektrycznymi.

Historia autobusów wodorowych pokazuje rzecz zaskakująco prostą. Można dopłacić do zakupu pojazdu i do budowy stacji, a nawet do produkcji paliwa. Nie da się tylko dopłacić do rachunku ekonomicznego. Ten prędzej czy później upomni się o swoje. I właśnie wtedy kończą się polityczne przemówienia, a zaczyna rzeczywistość. Ta zaś od dwóch lat mówi Europie coś, czego przez długi czas nie chciała usłyszeć. Że przez kilka lat budowała system, w którym najłatwiej było zdobyć dotację, znacznie trudniej znaleźć klienta, a najtrudniej zarobić choćby złotówkę bez publicznego wsparcia. W efekcie zamiast rewolucji powstała technologia, która najlepiej rozwijała się tam, gdzie kończył się zdrowy rozsądek, a zaczynały pieniądze podatników. Bo zielona transformacja nie przegrywa z przeciwnikami. Przegrywa z własnymi kosztami wtedy, gdy próbuje zastąpić ekonomię politycznym życzeniem.

TADEUSZ JASIŃSKI

i organizacji, więc nie jest żadną prostą robótką śrubokrętem. Ale gdy organizacja zaczyna szwankować, taki model produkcji mści się okrutnie. Wystarczy, że jeden dostawca się spóźni, jeden system nie dogada się z drugim, a cały tramwaj albo pociąg przestaje być narodowym cudem techniki i staje się wielotonowym problemem stojącym na bocznicy.

Państwo na białym koniu

Jesienią 2017 r. sytuacja PESY była na tyle dramatyczna, że mówiło się już nie o przejściowych problemach, ale o realnym zagrożeniu upadłością. Banki zgodziły się wprawdzie utrzymać finansowanie, lecz postawiły jeden warunek. Musi pojawić się nowy właściciel dysponujący odpowiednim kapitałem. Rynek uznał, że dalsze ratowanie spółki bez silnego inwestora nie ma większego sensu. I właśnie wtedy do gry weszło państwo PiS-u. W lipcu 2018 r. Polski Fundusz Rozwoju przejął 99,8 proc. udziałów w PESIE. Zapowiedziano dokapitalizowanie przedsiębiorstwa kwotą 300 mln zł, z czego pierwsze 200 mln zł trafiło do spółki niemal natychmiast. Na tym jednak pomoc się nie skończyła. Restrukturyzowano zadłużenie, porządkowano zarządzanie, odbudowywano zaufanie banków i kontrahentów oraz stopniowo przywracano zdolność przedsiębiorstwa do normalnego funkcjonowania. Sam PFR po latach informował, że całkowite zaangażowanie finansowe związane z odbudową firmy sięgnęło około 1,5 mld zł, a kolejne setki milionów złotych przeznaczono na modernizację zakładów produkcyjnych.

Dlatego w kontekście Lipska pytanie o świetlaną przyszłość firmy jest jak najbardziej zasadne. PESA, uratowana znad przepaści państwowymi pieniędzmi, znów jest synonimem sukcesu pozwalającym przez chwilę poczuć przyjemne ciepło w okolicach narodowej dumy. Tylko że kilkanaście lat temu też tak było.

TOMASZ BOROWIECKI

Globalne kryptokasyno


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Żeton wolności

Kryptowaluty miały być „złotem wolności”. Pieniądzem bez bankiera i ministra finansów, wolnym od windykatora, komornika i oka Wielkiego Brata. Powstał nawet ruch cypherpunków – od połączenia angielskiego słowa *cipher* (szyfr albo kod) oraz cyberpunku: nurtu fantastyki naukowej, opowiadającego o zaawansowanej technologii i buncie przeciwko systemowi. Pojawiło się też hasło: „bądź własnym bankiem”.

Brzmiało kusząco, zwłaszcza po kryzysie 2008 r., gdy banki najpierw urządziły światu katastrofę, a potem dostały setki miliardów dolarów publicznego wsparcia. Bitcoin obiecywał wyjście awaryjne. Po kilkunastu latach okazało się, że drzwi prowadzą głównie do kasyna wielkiego jak świat.

Technologia blockchain sprawiła, że z jednego bitcoina wyrosły setki innych tokenów. Stworzyć własny token może dziś niemal każdy, kto ma odpowiednie zaplecze techniczne. Z pomocą dla wolności nadciągnęły scentralizowane giełdy, fundusze venture capital, celebryci, influencerzy, Donald Trump i inni miliarderzy zdolni jednym wpisem podbić albo zatopić kurs.

Kryptowaluty to jednak nie tylko ryzyko inwestorów. Oczywiście pojawiły się przekręty. Założyciel giełdy FTX Sam Bankman-Fried został skazany na 25 lat więzienia za oszustwa, w ramach których sprzeniewierzono miliardy dolarów powierzonych przez klientów. Sąd nakazał również przepadek mienia o wartości 11 mld dol. Oto „własny bank”: cudzy sejf, cudzy regulamin i okradzeni ciułacze.

Od Waszyngtonu do Moskwy

Najbardziej ponury dowcip polega jednak na tym, że kryptowalut nauczyły się używać państwa, przed którymi kryptowaluty miały nas chronić. Panel ekspertów Organizacji Narodów Zjednoczonych badał 58 podejrzanych północnokoreańskich cyberataków na firmy kryptowalutowe przeprowadzonych w latach 2017–2023. Ich wartość oszacowano na około 3 mld dol., a pieniądze miały pomagać w finansowaniu programów zbrojeniowych, w tym produkcji broni masowego rażenia. Kryptowaluty, z definicji bez ojczyzny, znakomicie odnalazły się więc w służbie autokratów.

Stany Zjednoczone mają zresztą własną, bardziej elegancką odmianę kryptopatologii – kryptowalutę jako sposób monetyzowania władzy politycznej.

Donald Trump tuż przed objęciem urzędu prezydenta wypuścił token $TRUMP. Później 220 jego największych posiadaczy otrzymało zaproszenie na kolację z prezydentem w należącym do niego klubie golfowym, a pierwszym 25 obiecano dodatkowe spotkanie dla VIP-ów.

Żeby dostać się do stołu, inwestorzy kupili tokeny warte łącznie około 148 mln dol. Podmioty związane z Trumpem kontrolowały 80 proc. przeznaczonej do emisji puli monet i zarabiały na opłatach transakcyjnych. W tym samym czasie prezydent ustanowił państwową Strategiczną Rezerwę Bitcoina i wprowadził politykę korzystną dla branży kryptowalutowej. Tak oto amerykański „wolny rynek” osiągnął nowy poziom wolności: można anonimowo kupować żetony firmy należącej do rodziny faceta, który ustala reguły rynku, a przy odpowiednio dużym zakupie dostać jeszcze kolację z tym facetem. Kryptowaluta stała się jednocześnie produktem, łapówką bez koperty i biletem wstępu do władzy.

Rosja również nie przestraszyła się zdecentralizowanej rewolucji. Po prostu zrobiła z niej narzędzie. Amerykański Departament Skarbu opisał moskiewską giełdę Garantex jako pralnię środków powiązanych między innymi z darknetem i gangami ransomware, czyli grupami wymuszającymi okup za odblokowanie dostępu do danych. W 2025 r. międzynarodowa operacja doprowadziła do zamrożenia ponad 26 mln dol. w kryptowalutach, lecz ludzie Garantexu przenieśli klientów do jego następcy – giełdy Grinex. Do gry weszła też A7A5 – kryptowaluta oparta na rublu, związana z systemem płatności międzynarodowych służącym omijaniu sankcji. Blockchain nie obalił oligarchii. Dostał od niej etat.

Zamiast walizek dolarów

Dzięki lukom w nadzorze, różnicom między jurysdykcjami i łatwości międzynarodowego transferowania środków krypto stało się także olejem w silniku przestępczości. Kryptowaluty występują powszechnie w oszustwach inwestycyjnych, praniu pieniędzy, gangsterskich rozliczeniach, szpiegostwie i łapówkach. Nie trzeba już ryzykownie przewozić kasy w walizkach.

Krypto to również paliwo wojny hybrydowej, w tym wojny kognitywnej – walki o to, jak społeczeństwa myślą, co uznają za prawdę i komu wierzą. Nie każda farma trolli płaci rachunki bitcoinem, ale cały ekosystem tej wojny – cyberataki, wyłudzenia, okupy, pranie pieniędzy, handel dostępem do serwerów i omijanie sankcji – dostał wygodny układ krwionośny. Rosyjskie operacje wpływu (a może nie tylko rosyjskie?) korzystają z fałszywych portali, kupionych reklam, spreparowanych kont, influencerów i treści generowanych przez sztuczną inteligencję. Krypto smaruje część maszyny działającej ponad granicami i poza normalnym nadzorem.

Kiedyś mówiono, że pieniądz nie ma ojczyzny. Dziś nie chodzi już tylko o to, że przekracza granice. Kryptowaluty mają także kanał na Telegramie, serwer w chmurze i farmę botów po każdej stronie konfliktu. Dezinformacja produkuje emocje, krypto przesuwa środki, a zwykły człowiek ma uwierzyć, że uczestniczy w technologicznej rewolucji, gdy w rzeczywistości dostarcza płynności finansowej gangsterom i zawodowym graczom.

Kryptoarystokracja

Wraz z rozwojem technologii pojawiają się też cyfrowe pieniądze państwowe. Te wynalazki światowej finansjery to CBDC – central bank digital currencies – czyli cyfrowe waluty banków centralnych. Nie są kryptowalutami. Stanowią bezpośrednie zobowiązanie banku centralnego i cyfrową postać publicznego pieniądza. Mogą być bezpieczniejsze od prywatnych kryptoaktywów, ale ich architektura może umożliwiać śledzenie transakcji, wprowadzanie limitów i blokad oraz stosowanie selektywnych sankcji. Tego nie było w obrocie gotówkowym. Mamy tu do czynienia z technicznym fundamentem, który demokratyczne państwo może obudować prawami obywatelskimi, a autorytarne – instrukcją obsługi społeczeństwa.

Europejski Bank Centralny przynajmniej obiecuje, że cyfrowe euro nie będzie pieniądzem programowalnym ani narzędziem inwigilacji, a płatności offline mają zachować prywatność zbliżoną do gotówki. Może. Nie mam jednak wątpliwości, że cyfrowe waluty w innych rękach nie będą tak szanowały prywatności. Różnica tkwi więc nie tylko w kodzie. Tkwi w ustroju, prawie i w tym, kto ma klucz do wyłącznika.

Kryptowaluty nie zniosły klasowej władzy nad pieniądzem. Do bankierów dołączyła tylko kryptoarystokracja: właściciele giełd, tajemnicze fundusze i miliarderzy – kaznodzieje szybkiego bogactwa. Ryzyko uspołeczniono, zysk sprywatyzowano, a straty nazwano wolnością wyboru.

„Złoto wolności” okazało się żetonem, nie pieniądzem. Kasyno jest globalne, krupier bywa miliarderem, ochroniarzem – służba specjalna bóg wie jakiego autoramentu, a drobny gracz, jak zwykle, finansuje całą zabawę.

ANNA GRODZKA

Życie w dobrobycie

Inflacja spadła do 2,5 proc., więc powinno to oznaczać poprawę nastrojów. Tymczasem najnowszy wskaźnik dobrobytu przygotowywany przez Biuro Inwestycji i Cykli Ekonomicznych pokazuje coś innego. Bo w lipcu wskaźnik nie wzrósł. Przeciwnie – obniżył się o 0,1 punktu i osiągnął poziom 93,6 punktu. To wynik pozostający w pobliżu najniższych wartości obserwowanych od 2023 r. Wychodzi więc, że Polak jakoś nie bardzo chce uwierzyć, że żyje mu się coraz lepiej. Wskaźnik dobrobytu powstaje na podstawie kilku elementów, z których najważniejsze to zmiany inflacji, realnych wynagrodzeń oraz sytuacji na rynku pracy. Jeżeli ceny rosną wolniej od płac, a przedsiębiorstwa zwiększają zatrudnienie, wskaźnik zwykle pnie się w górę. Gdy jednak pracowników zaczyna ubywać albo podwyżki przestają rekompensować koszty życia, dobrobyt w rozumieniu BIEC maleje. Paradoks spadającego dobrobytu polega na tym, że dane gospodarcze zaczynają wyglądać coraz lepiej. Tymczasem problem kryje się gdzie indziej. Dobrobyt nie zależy wyłącznie od wysokości pensji. Trzeba ją jeszcze mieć. Tymczasem właśnie tutaj pojawiają się dane, które skutecznie odbierają optymizm. Trudno oczekiwać, aby osoby obserwujące redukcje zatrudnienia z entuzjazmem przyjmowały wiadomość o tym, że inflacja spadła o kolejny ułamek punktu procentowego. BIEC przypomina przy okazji, że dobrobyt nie jest wyłącznie miarą wysokości dochodów. Obejmuje również poczucie bezpieczeństwa, dostęp do ochrony zdrowia, edukacji, możliwość rozwoju i ogólną jakość życia. Właśnie dlatego sam spadek inflacji nie wystarcza, aby wskaźnik zaczął rosnąć. Można wszak płacić nieco mniej za codzienne zakupy, a jednocześnie zastanawiać się, czy za kilka miesięcy wciąż będzie się miało pracę.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Warszawski Szpital Południowy przez kilka tygodni przedstawiany był tak, jakby w jego piwnicach zamiast prosektorium działała filia organizacji przestępczej, na parterze znajdowała się tajna poczekalnia dla uprzywilejowanych, a na piętrze lekarze wpisywali sobie do grafików po 49 godzin pracy na dobę. Po ujawnieniu sprawy poleciał cały zarząd. Kilka dni później zmieniona została również rada nadzorcza. No i poleciały ze stanowisk dwie wiceprezydentki Trzaskowskiego. Prokuratura wszczęła dwa śledztwa. Pierwsze dotyczy podejrzenia doprowadzenia szpitala do niekorzystnego rozporządzenia mieniem, czyli przyjmowania faktur z wziętym z sufitu czasem pracy. Drugie – niegospodarności, braku odpowiedniego nadzoru nad SOR-em, zasad klasyfikowania pacjentów, sposobu zawierania umów, sprawdzania faktur oraz dokonywania płatności. Badane ma być również to, czy osoby z warszawskiego ratusza odpowiedzialne za nadzór nad szpitalem właściwie wykonywały swoje obowiązki. Można by więc dojść do wniosku, że Szpital Południowy musiał być finansową ruiną. Tymczasem sprawozdanie finansowe za 2025 r. pokazuje, że w kraju, gdzie standardowe zadłużenie szpitali wynosi po kilkadziesiąt milionów złotych, Szpital Południowy zarobił na czysto 14 mln zł. W 2024 r. szpital dostał z Narodowego Funduszu Zdrowia 164,6 mln zł. Rok później było tego już 200 mln zł. NFZ zapłacił dodatkowo 7,5 mln zł za nadwykonania. Ministerstwo Zdrowia przekazało placówce 11,1 mln zł na staże lekarskie i rezydentury, czyli o 4,5 mln zł więcej niż rok wcześniej. Szpital realizował również program in vitro wart 3 mln zł. Można oczywiście uznać, że przy takich wpływach każdy potrafi osiągnąć zysk. Tyle że w polskiej ochronie zdrowia setki milionów złotych potrafią wpływać równie szybko, jak wypływają, a większość zarządzających szpitalami zamiast dodatniego wyniku pokazuje stratę i wyjaśnia, że winne są wyceny procedur, ceny energii, płace personelu, brak lekarzy, inflacja, poprzednia dyrekcja, aktualna dyrekcja albo pacjenci, którzy nie wiedzieć czemu przychodzą się leczyć.

Są takie dane, które nie przebijają się na czołówki portali, a mówią więcej niż sto przemówień i komunikatów. Tak właśnie jest z eksperymentalnymi danymi GUS opartymi na tak zwanych śladach życia. Statystycy nie pytali ludzi, czy mieszkają w Polsce, sprawdzili kto pracuje, leczy się, uczy, płaci składki, korzysta z administracji i zostawia po sobie ślady w państwowych rejestrach. Wyszło, że na koniec 2025 r. w Polsce przebywało około 38,8 mln osób. Spośród nich około 2,3 mln stanowili cudzoziemcy. Jeszcze rok wcześniej było ich o ponad 200 tys. mniej. Około 73 proc. cudzoziemców stanowią obywatele Ukrainy. W Warszawie cudzoziemcy stanowili około 14,5 proc. wszystkich mieszkańców. We Wrocławiu – niemal 20 proc. Oznacza to, że mniej więcej co piąta osoba spotkana na ulicy stolicy Dolnego Śląska nie ma polskiego obywatelstwa. I właśnie tutaj zaczyna się problem dla wszystkich zawodowych straszycieli. Bo skoro w największych miastach udział cudzoziemców dochodzi do 20 proc. mieszkańców, to gdzie są te zapowiadane przez lata dzielnice, do których nie wjedzie policja? Gdzie są ulice opanowane przez gangi imigrantów? Gdzie są codzienne zamieszki, które miały być nieuchronną konsekwencją napływu obcokrajowców? Można oczywiście wskazać pojedyncze przestępstwa popełniane przez cudzoziemców, ale dane GUS pokazują, że Polska przez kilka lat przyjęła jedną z największych fal migracyjnych we współczesnej Europie i jednocześnie nie przestała być jednym z najbezpieczniejszych państw kontynentu.

TTJ

eprasa.pl be094cd7ef

Ratuj nas, Tereska!

Relikwie krążą po Polsce



Rys. HENRYK CEBULA

Bóg nie gra w kości – stwierdził genialny lewak Albert Einstein, krytykując fizykę kwantową i nie godząc się na to, że światem rządzą chaos i przypadek. Niestety, twórca teorii względności się mylił: Bóg gra w kości, czego przykładem są wędrujące po świecie członki osób świętych. Właśnie nasz kraj ubogaca przesyłka z Francji – niestety, nie szampan i nie trufle, tylko fragmenty kości piszczelowej Małej Tereski od Dzieciątka Jezus z Lisieux i części kości stóp jej rodziców Ludwika i Zelii Martinów.

Z utęsknieniem czekam na cuda na ziemi – tej ziemi, jak powiedział klasyk – za wstawiennictwem piszczela Tereski, peregrynującej po kraju niczym domokrążca sprzedający odkurzacze, które same odkurzają. Jeśli ktoś chce jeszcze zaznać cudów za jej wstawiennictwem – a szczególnie małżeństwa i rodziny – ma szansę na obcowanie z kawałkami trucha do 10 sierpnia. Na trasie tego swoistego świętego Tour de Pologne znajdują się m.in. Warszawa, Wrocław, Poznań, Łódź, Toruń, Bydgoszcz i Kalisz.

Święta rodzina

Jeśli ktoś się zastanawia, jaki wzorzec małżeństwa, rodziny i rodzicielstwa promuje w Rzeczypospolitej Kościół, to mamy jedynie słuszną odpowiedź. Oddajmy głos świątobliwemu mężowi, karmelicie bosemu o. Kamilowi Strójwąsowi, cytowanemu przez „Gościa Niedzielnego”: „Ludwik i Zelia objawiali w swoim małżeństwie miłość Boga. Oboje na pierwszym miejscu stawiali Boga, do tego stopnia, że początkowo chcieli wstąpić na drogę życia zakonnego. Ostatecznie Ludwik został zegarmistrzem, a Zelia prowadziła zakład koronkowy. Zelia zobaczyła przyszłego męża na moście. Ujęła ją jego elegancja i poczuła w sercu, że właśnie tego mężczyznę Bóg wybrał dla niej. Wcześniej matka Ludwika upatrzyła sobie Zelię na synową. Po trzech miesiącach młodzi zawarli sakramentalne małżeństwo. Kiedy poczęły się ich kolejne dzieci, były dla nich największym szczęściem. Dodawały im skrzydeł. Czwórka zmarła za młodu. Zelię bardzo bolało, gdy ludzie mówili, że jak tak umierają, to lepiej, by się nie rodziły. Wierzyła, że spotka je „w górze”. To nam przypomina, że macierzyństwo jest czymś świętym. Matka jest matką na wieczność. Kiedy zmarła Zelia, Tereska miała 4,5 roku. Dzieci pozostawiła Bogu”.

Tak się zastanawiam i wydaje mi się, że dzisiejsi rodzice mogą się uczyć od Zelii i Ludwika – nie gardłować o pieniądze, dobrą edukację i dostępną służbę zdrowia, lecz po prostu dzieci zostawić Bogu. Jak Bóg zechce, przeżyją, jak nie – zasilą grono aniołków. No i im więcej bachorów się zrobi, tym większa radość będzie w niebie, gdy się wreszcie tę wesołą czeredkę spotka – chyba że zostaną czytelnikami „NIE”, to wtedy na widły i do piekła! Inna rzecz, że naśladowanie postawy Martinów polskiej demografii nie uratuje, bo choć spłodzili siódemkę dzieci, żadnych wnuków z nich się nie doczekali…

Dorosłości dożyło pięć sióstr, z których cztery zostały karmelitankami bosymi, a piąta – podobno najbardziej krnąbrna – wstąpiła do zakonu wizytek, a dziś jest kandydatką na ołtarze.

Maturzyści martwiący się obecnie, czy dostaną się na wymarzone studia – a po aferze z milionerem Kacprzykiem każdy prawie chciałby zostać lekarzem – zasługują na surową naganę. Powinni brać przykład z Tereski – już jako 15-latka wstąpiła do karmelu cenzurowego. To była prosta dziewczyna. Za dużo nie czytała, tylko Nowy Testament i pisma św. Jana od Krzyża. I słusznie – od nadmiaru (zwłaszcza nieprawomyślnych) lektur rodzą się liberalizm, socjalizm, humanizm i inne wszeteczeństwa.

Peregrynacja relikwii odbywa się pod hasłem „Przez ufność do miłości”, bo nie należy dążyć do Boga o własnych siłach, lecz trzeba zawierzyć jego miłosierdziu. Tereska go zaznała – opuściła ten padół łez i rozpaczy w wieku lat 24, będąc osobą chorowitą. I tylko pomioty szatańskie mogą mniemać, że jej kolorowe wizje Dzieciątka Jezus były pokłosiem typowych dla chorujących na gruźlicę halucynacji.

Czemu to zatem służy, jaka wynika z tego nauka dla nas tu i teraz? „Święci z Lisieux uczą nas szukania i pełnienia woli Bożej przez małe gesty, które uczynili programem swojego życia. Prowadzili żywot zwyczajny, naznaczony chorobą, cierpieniami, słabościami. Cicho i pokornie, wytrwale i bez rozgłosu wypełniali wolę Bożą” – wyjaśnił podczas mszy św. przed przyjęciem relikwii ks. Piotr Stępniewski, proboszcz w Markach Pustelniku.

Czekając na cuda

Podobno trójka francuskich świętych do dziś inspiruje rodziny w całej Polsce. Są oni przykładem wiary, więzi małżeńskiej, miłości rodziców do dzieci. Wierni nieraz kładli na relikwiarzu własne obrączki ślubne. Prosili świętych małżonków o miłość i wytrwanie dla swoich rodzin (co mi nieodmiennie przypomina, że w wakacje Polak-katolik złopie więcej piwska), a samą małą Tereskę – o „deszcz łask”. Symbolem owego deszczu łask są róże, gdyż Terenia zapowiedziała (z wrodzoną sobie skromnością), że po jej śmierci będzie „spuszczać z nieba deszcz róż”, czyli wypraszać ludziom ogrom dobra wszelakiego.

Gdy wciąż są jakieś kłopoty na Bliskim Wschodzie, warto sięgnąć po sprawdzone recepty, dzięki którym znikną one niczym zgromadzone na nowy dach pieniądze w kieszeni proboszcza. Tereska wzdychała: „Ach, pomimo swojej małości chciałabym oświecać dusze jak Prorocy, jak Doktorzy; mam powołanie, by być Apostołem… chciałabym przemierzać świat, głosząc Twoje imię, i postawić na ziemi niewiernych Twój zwycięski Krzyż”. Z pewnością w Iranie czy Afganistanie dziesiątki milionów muzułmanów tylko czekają na krzyżowców…

Jak radośnie tłumaczy karmelita bosy o. Jan Malicki: „Przybycie relikwii Teresy uzdrawiało i jednało wielu ludzi, na co istnieją liczne świadectwa. Tak jak kobieta z Ewangelii cierpiąca na krwotok chciała się dotknąć szat Jezusa, tak liczne tłumy chciały z wiarą dotknąć urny z relikwiami, aby odzyskać ukojenie serca i odnaleźć uzdrowienia na duszy i ciele. Święta nie skończyła zadziwiać nas swoim promieniowaniem nowej ewangelizacji, realizując w pełni powołanie »rybaka dusz«. Teresa nie tylko patronuje misjom i opiekuje się nimi, ale przede wszystkim sama daje nam przykład nowej ewangelizacji w praktyce”.

Myślę, że co by nie myśleć o świętej Tereni, to jednak cuda – a zatem rzeczy niepojęte i niewytłumaczalne – za jej wstawiennictwem by się przydały. Jeśli mogę zacząć od prywaty – poprosiłabym o wyjawienie mi numerów najbliższego losowania Euro Jackpot. Ale ważniejsza ojczyzna!

Prezes i Morawiecki pragnęliby cudu ponownego zjednoczenia w ramach najświętszego PiS-u. PSL i Razem – przekroczenia progu wyborczego za rok. Donald Tusk mógłby wymodlić odwrócenie niekorzystnych tendencji w sondażach

dotyczących zarówno rządu, jak i partii. Czasu nie zostało dużo, więc politycy: naprzód marsz do Tereni, licząc na jej zmiłowanie, bo zmiłowania ze strony wkurwionych Polaków raczej nie powinniście oczekiwać!

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Konfesjonał strachu

A gdyby tak odwrócić spowiedź?



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Ludzie podający się za ateistów często uzasadniają swoją niewiarę kolejnymi skandalami z udziałem duchownych. Że ten ksiądz lubi chłopców, tamten ma kochankę, a jeszcze inny przegrał majątek parafii w karty. Bardziej wyrafinowani nie zaprzątają sobie głowy pojedynczymi przypadkami i z filozoficznym spokojem kwitują wszystko zdaniem: „religia to fałsz”.

Mówiąc szczerze, żaden z tych argumentów nie wydaje mi się najpoważniejszym zarzutem przeciw Kościołowi. W Kościele dostrzegam zjawiska znacznie groźniejsze – powszechne, głęboko zakorzenione, a mimo to traktowane jako coś zupełnie naturalnego, a nawet społecznie pożytecznego.

Do napisania tego felietonu sprowokował mnie niejaki Tomasz Terlikowski, który w ostatnich dniach oznajmił, że „biskupi boją się swoich wiernych”. Cytat obiegł media i doczekał się wielu komentarzy. Powiedziałbym jednak, że strach biskupów to drobiazg. Spróbujmy spojrzeć na problem oczami zwykłego wikarego. Moim zdaniem jednym z najciekawszych, a zarazem najmniej dostrzeganych źródeł zła w Kościele jest instytucja, którą od dzieciństwa przedstawia się jako dobro bezdyskusyjne: sakrament spowiedzi świętej.

Pegasus w sutannie

Przez 12 wieków chrześcijaństwo jakoś radziło sobie bez konfesjonałów. Wierni grzeszyli na własny rachunek, a Bóg – jeśli w ogóle istniał – musiał sam prowadzić księgowość. Ale w 1215 r., na IV Soborze Laterańskim, biurokracja watykańska zrozumiała, że wiedza to władza, a darmowa wiedza o cudzych łajdactwach to władza absolutna. Wprowadzono przymusową spowiedź raz w roku. Takie „pojednanie z Bogiem”.

Okazało się wówczas, że konfesjonał jest lepszy od Pegasusa, a Kościół stał się najskuteczniejszą agencją wywiadowczą świata. Ksiądz wie o tobie wszystko: z kim sypiasz, ile kradniesz i czego się boisz. To haki doskonałe, bo dostarczone dobrowolnie przez ofiarę. Wyznając księdzu niegodziwości, stajesz się jednocześnie jego zakładnikiem. Prawdziwa władza nie polega bowiem na ujawnianiu tajemnic, lecz na świadomości, że druga strona je zna.

Powiedzmy, że przedsiębiorca spowiada się z lewych faktur, a miesiąc później proboszcz zbiera na remont dachu. Nie musi nic mówić, nie musi nawet mrugać okiem. Wystarczy, że obaj pamiętają tę samą rozmowę. To szantaż w dymach kadzidła – płacisz za milczenie, które oni nazywają rozgrzeszeniem.

Pedagogika upodlenia

Kolejnym, moim zdaniem znacznie poważniejszym, defektem tego tajemniczego sakramentu jest jego psychologiczny mechanizm. Spowiedź należy do nielicznych rytuałów, w których człowiek przez kilkanaście minut – a wcześniej często przez godzinę lub dwie podczas rachunku sumienia – koncentruje się niemal wyłącznie na własnych porażkach. Ani słowa o sukcesach. Ani o tym, komu pomógł. Ani o uczciwości, lojalności czy bezinteresowności. Liczy się wyłącznie katalog win.

Wyobraźmy sobie psychologa, który przez 30 lat prowadzi terapię w ten sposób, że na początku każdej wizyty zadaje pacjentowi jedno pytanie: „No dobrze, co tym razem pan zepsuł?”. Każdy uznałby taką terapię za drogę do utrwalania poczucia winy, a nie do ozdrowienia. Taka właśnie pułapka kryje się w spowiedzi.

Człowiek jest bowiem tym, na czym skupia swoją uwagę. Jeśli nieustannie liczy własne upadki, z czasem zaczyna postrzegać siebie przede wszystkim jako nieszczęśnika, grzesznika, stworzenie boże gorszego sortu. I dzieje się to na masową skalę.

eprasa.pl be094cd7ef

Z buta w Maryję



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Opłakane skutki nawrócenia

W jednym z najpopularniejszych miejsc kultu maryjnego w Europie, leżącym w Bośni i Hercegowinie Međugorje, doszło do profanacji. Na posągu Matki Boskiej wymalowano sprayem napis „Diabeł w spódnicy", podłożono ogień w pobliżu jednego z licznych ołtarzy, zaś w okolicy tegoż wywieszono banner z napisem „Ivanka, Mirjana, Milka, Vicka, Ivan, Jakov – to oszuści, mam dowody". Wymienieni oszuści to „widzący", czyli ci, którym rzekomo objawiła się – a niektórym nadal objawia – Maryja.

Właściwie nie ma co pisać tak bezosobowo, że „wymalowano", „podłożono" i „wywieszono", albowiem wymalował, podłożył i wywiesił Bartłomiej K. – Polak, gorliwy katolik i ewangelizator. Gdy gruchnęła wieść o możliwym autorstwie aktów wandalizmu, polscy wielbiciele objawień w Međugorje węszyli w tym swąd diabelskiego spisku, który chce skierować gniew ludzi na ostatni bastion wiary, jakim jest Polska. Kiedy jednak Prokuratura Bośni i Hercegowiny postawiła naszemu rodakowi zarzut uszkodzenia lub zniszczenia obiektów religijnych, za co grozi mu do pięciu lat więzienia, a on sam przyznał się do zarzucanego czynu, ta linia obrony padła. Wyparcie u dewotów jest jednak na tyle silne, że nadal widzą w tym diabelski palec. Zły posłużył się dobrym, a reszcie pozostaje modlitwa. Jedynie co rozsądniejsi widzą w tym kolejny kryzys psychiczny tego człowieka.

Bartek K. to od paru lat bohater katolickich mediów i wędrowny kaznodzieja opowiadający w kościołach i na katolickich festynach o swoim nawróceniu. 31-letni dziś facet już na starcie miał przejebane: urodził się w patologicznej rodzinie, ojciec go bił i poniżał. Jako podrostek zaliczał poprawczaki i meliny, eksperymentował z używkami i prawem – generalnie wiódł życie, któremu społeczeństwo nie przyklaskuje. A on sam, wymęczony kolejnymi przygodami, miał tego wszystkiego dosyć i marzył o tzw. normalnym życiu: praca, rodzina, szacunek sąsiadów. Nie posiadając wszakże wzorców wyniesionych z domu i najbliższego otoczenia, rozregulowany narkotykami, w stabilności odnajdował się słabo. W końcu postawił wszystko na jedną kartę – kartę wiary. W nawróceniu miało mu pomóc właśnie sanktuarium w Međugorje, które teraz zbezcześcił. Przed kliku laty szedł tam z Polski pieszo, a swoje pielgrzymowanie relacjonował na fanpejdżu „Z buta do Maryi". Opowiadał o tym m.in. w Radiu Maryja. Nawrócenie, sakramentalne małżeństwo i posiadanie dziecka nie uchroniły go jednak przed kolejnymi kryzysami. Choć występował jako inspiracja i motywacja dla innych, demony przeszłości ścigały go, wychodząc co chwila na prowadzenie.

Bartek K. jest jednym z bohaterów filmu fabularno-dokumentalnego „Powołany 2". Świeżo upieczony bluźnierca występuje w części dokumentalnej, wygłaszając swoje świadectwo nawrócenia. Reżyser filmu Jan Sobierajski na Facebooku odniósł się do ostatnich perypetii swojego aktora. „Bartka poznałem osobiście. Spędziliśmy razem kilka dni na planie filmu „Powołany 2". Był w zupełnie innym okresie swojego życia – zarówno prywatnego, jak i duchowego. Wielu zadaje dziś pytanie: »Jak to możliwe, że zrobił coś takiego?«. Nie znam wszystkich odpowiedzi. Wiem jednak, że od dłuższego czasu zmagał się z bardzo poważnymi problemami natury psychicznej, być może wymagającymi leczenia psychiatrycznego. Dorastał w dysfunkcyjnym domu, a konsekwencje tamtych doświadczeń nosił w sobie przez lata. Niedawno doświadczył rozpadu małżeństwa, następnie utrata pracy i kolejne życiowe kryzysy, które tylko pogłębiały jego cierpienie. Wyjechał za granicę. Rozmawiałem z nim telefonicznie wielokrotnie. Niestety nie chciał przyjąć pomocy" – pisze Sobierajski. Ewidentnie mamy do czynienia z gościem, któremu leczenie jest bardziej potrzebne niż modlitwa. Chłop ewidentnie lubi zwracać na siebie uwagę. Promujący go księża tylko mu zaszkodzili, a dzisiaj umywają ręce i każą się modlić.

Dla tej części katolików, którzy objawienia w Međugorje uznają za humbug, jest to kolejny dowód na to, że tak naprawdę to miejsce ma swoje korzenie w piekle. Przypomnijmy, że

halucynacje „widzących" nie są oficjalnie uznane przez Kościół, ale ponieważ do Međugorje walą tłumy, Watykan toleruje to miejsce kultu, bo przecież szkoda takiej kasy.

Od początku jednak ten przybytek sprawiał problemy władzy kościelnej. Opiekujący się miejscówką franciszkanie są w niemal otwartym konflikcie z hierarchią, zazdrośnie strzegąc swoich wpływów duchowych i finansowych. Pierwszy opiekun wizjonerów i propagator objawień o. Tomislav Vlašić w 2020 r. został ekskomunikowany za niestosowanie się do zaleceń papieża. W 2009 r. Benedykt XVI przeniósł go do stanu świeckiego za „szerzenie wątpliwego nauczania, manipulowanie sumieniami, podejrzany mistycyzm, nieposłuszeństwo" oraz, na dokładkę, zrobienie dziecka zakonnicy. Ratzinger kazał mu wyjechać do Włoch, zamknąć się w klasztorze i zamknąć się w temacie Međugorje. Nie posłuchał, więc wyleciał za burtę Kościoła, a od 25 października ubiegłego roku – jeśli brać papieską anatemę poważnie – smaży się w piekle.

Skandali i skandalików związanych z Međugorje jest co niemiara, ale to nie przeszkadza kwitnąć turystyce religijnej związanej z tym miejscem. W Watykanie podejrzenia budzą treści objawień, które relacjonują „widzący", wszelako gdzie w grę wchodzą emocje, zwłaszcza religijne, tam nawet papież jest bezradny. Rzym stara się więc maksymalizować zyski i minimalizować straty związane z sanktuarium, bo jak sobie franciszkanie z Kościoła wyjdą, to wcale nie znaczy, że katolicy przestaną tam przyjeżdżać. Potrzeba mocnych wrażeń jest w pobożnym ludzie silna, a objawienia na żywo tę potrzebę znakomicie zaspokajają.

O jakości objawień z Međugorje niech poświadczy choćby jedna anegdota. Otóż w latach 80. Gospa (chorwackie określenie ma Matkę Boską) przekazała „widzącym", że 5 sierpnia 1984 r. będzie obchodziła dwutysięczne urodziny. „Ci, którzy choć trochę mnie kochają, niech tego dnia nie idą do szkoły, niech nie idą do pracy, niech nie robią niczego innego. Niech wezmą różaniec i niech się modlą" – nakazała zjawa z nieba. Rzecz okazała się o tyle prosta w wykonaniu, że – oprócz tego, że sierpień to wakacje – 5 sierpnia przypadał w niedzielę. Dziś łatwo sprawdzić takie rzeczy dzięki AI, ale wtedy Gospa nie ogarnęła kalendarza. Nie mówiąc już o tym, że skoro miałyby to być jej dwutysięczne urodziny, to zgodnie z dzisiejszą wiedzą i wyliczeniami, Maryja musiałaby urodzić Jezusa w wieku 9–11 lat. A wszystko po to, by w 2026 r. sprowokować młodego Polaka w kryzysie psychicznym...

MATT KOBOSKO

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Polak mający kłopoty ze zdrowiem psychicznym dokonał aktów wandalizmu i podpalenia w Medjugorie.* ***Sądzę, że sfera duchowa i działanie złego były wcale nie poboczną genezą tego negatywnego zachowania.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 28 lipca

■ *Coraz częściej ucisza się dzwony kościelne.* ***Uważam, że decybele są pretekstem, a przyczyna leży w budzonych biciem dzwonów sumieniach, które próbuje się zagłuszyć.***

ks. Janusz Chyła, X, 29 lipca

■ *Jesteśmy za szkołą, która respektuje chrześcijański system wartości i wychowuje człowieka integralnie – nie tylko intelektualnie, ale również moralnie i duchowo. Chcemy szkoły personalistycznej, która dostrzega całego człowieka. Modlimy się właśnie o takie wychowanie, o szacunek dla rodziców mających decydujący głos w wychowaniu swoich dzieci i o wartości, które budują człowieka.* ***Warto przytoczyć jedną z intencji nowenny: „Módlmy się, aby polska szkoła nie rezygnowała z kultury zakorzenienia na rzecz kultury emancypacji; aby nie dokonywano przesunięcia: od szkoły jako instytucji przekazu cywilizacyjnego ku szkole jako narzędziu miękkiej inżynierii społecznej". Modlimy się także za pracowników Ministerstwa Edukacji Narodowej, by nie byli głusi na głos społeczny.***

ks. dr Robert Kaczmarek, Opoka.org.pl, 19 lipca

■ *Dzwony biją przez kilkadziesiąt sekund kilka razy dziennie. Hałas komunikacyjny trwa od rana do wieczora i jeżeli ogranicza się tę wielowiekową tradycję religijną, a jednocześnie akceptuje się wielogodzinny hałas komunikacyjny, to rodzi się pytanie o spójność stosowania prawa.* ***Dzwony kościelne nie są źródłem hałasu, są częścią chrześcijańskiego dziedzictwa Polski i Europy. To jest jawna walna z Kościołem.***

dr Artur Dąbrowski, prezes Akcji Katolickiej Archidiecezji Częstochowskiej, Radio Maryja, 28 lipca



Rys. TOMASZ ROGOWSKI

■ *Kultura to jest biznes, wielki biznes. Kultura masowa to masowy biznes* (…). ***Wracamy tutaj do konsekwentnych połowów ludzkich dusz, bo kultura jest pokarmem duszy, sztuka jako jej część też jest pokarmem duszy. I w przypadku chrześcijan, ludzi wierzących, to jest religia. I to jest naprawdę danie, które może napełnić na tyle duszę, że te małe toksyczne deserki i potrawy mogą po prostu nie być aż tak istotne. Ale jeżeli ktoś deklaruje, że jest ateistą, agnostykiem, to te osoby też mają duszę i ją też muszą nakarmić. Wtedy do tej duszy trafia filozofia, edukacja, kultura itd., ale religii już tam nie ma, czyli zostaje tylko to, co jest tzw. nadbudową.***

Małgorzata Nawrocka, pisarka, dziennikarka, pedagog, Radio Maryja, 22 lipca

■ ***Bóg jest wystarczająco szokujący, prawda o nim jest wystarczająco ciekawa. Ewangelia i całe nauczanie Kościoła są wystarczająco pełne fajerwerków i cudów, żeby przyciągnąć ludzi.*** *Kłamstwo nigdy nie będzie bardziej atrakcyjne niż prawda, jeżeli będzie ona solidnie pokazana.* ***A jeżeli chodzi o sztukę, kulturę chrześcijańską, to ciąży na nas ogromna odpowiedzialność. Tu nie ma miejsca na kicz.***

dalej Nawrocka

KLECHA

A teraz spójrzmy na to z drugiej strony kratki. Klecha wychodzi z tej drewnianej szafy, staje przy ołtarzu, podnosi magiczny opłatek i zerka na swoją trzodę. Co widzi? Nie widzi „dzieci bożych", tylko ożywioną kartotekę kryminalną. Pierwszy rząd: cudzołożnica, która jeszcze wczoraj sapała mu do ucha o listonoszu. Obok niej kat domowy, co to żonę tłucze regularnie, ale rączki do modlitwy składa najpobożniej. Dalej nasz znajomy biznesmen od lewych faktur. Za nim alkoholik, któremu ręce drżą tak, że ledwie trafi do komunii. W trzeciej ławce zawodowa plotkara, a tam w kącie... o, znowu ten policyjny łapówkarz.

Nic dziwnego, że biskupi boją się wiernych. Trudno nie czuć lęku, gdy patrzy się na tłum, o którym wie się wyłącznie to, co w nim najgorsze. Dla księdza kościół to nie jest świątynia, tylko poczekalnia do piekła, którą sam codziennie mebluje. To nie jest wspólnota, to jest zlot owiec w wilczej skórze, a pasterz drży, bo wie, że każda z nich ma coś za uszami, a kozik może być w kieszeni.

Rehabilitacja przyzwoitości

Mniej mnie obchodzi zbawienie dusz, a bardziej to, żeby moi współobywatele nie chodzili z wiecznie skwaszonymi minami. Skoro jednak Kościół wlazł nam w życie z butami i nie zamierza ich zdjąć, to trzeba mu te buty przynajmniej wyczyścić, zaczynając od spowiedzi. To, co mamy teraz, to masochistyczny kult porażki. Proponuję rewolucję: niech wierni wyznają sukcesy.

Wyobraźcie sobie tę scenę w mrocznym wnętrzu kościoła. Zamiast szeptania o onanizmie, nienawiści do teściowej i kradzieży prądu, słyszymy dialog godny cywilizowanych ludzi:

– Co dobrego uczyniłeś od ostatniej spowiedzi?

– Pomogłem sąsiadce wnieść zakupy na czwarte piętro.

– Bardzo dobrze.

– Pogodziłem się z bratem, choć to skończony idiota.

– Pięknie.

– Oddałem znaleziony portfel, mimo że nikt nie patrzył.

– Doskonale. A co zamierzasz dobrego zrobić do następnej niedzieli?

Człowiek, który raz usłyszy, że jest przyzwoity, może w to w końcu uwierzyć. Psychologia od dekad trąbi, że utrwalanie pozytywnych doświadczeń buduje motywację, a babranie się w winie rodzi jedynie kompleksy i zapotrzebowanie na psychotropy. Gdybyśmy zaczęli liczyć cnoty, a nie grzechy, stalibyśmy się narodem ludzi wyprostowanych, a nie zgarbionych pod ciężarem urojonych win.

Narzędzie dyscypliny

Dlaczego to nie nastąpi? Ano bo właśnie tego kler boi się najbardziej. Człowiek, który czuje się dobrze sam ze sobą, przestaje być ich klientem. Szczęśliwy obywatel nie potrzebuje kupować rozgrzeszenia, bo nie ma się z czego leczyć. Kościół potrzebuje waszego brudu, żeby mieć co prać. Gdybyście przyszli czyści i dumni, proboszcz musiałby iść do uczciwej roboty. A tego jego sumienie mogłoby już nie zdzierżyć.

Znacznie łatwiej zarządza się ludźmi przekonanymi o własnej grzeszności niż ludźmi pewnymi swojej wartości. Człowiek, który bez przerwy słyszy, że jest moralnym dłużnikiem, łatwiej szuka autorytetu, który wskaże mu drogę do oczyszczenia. Człowiek, który dostrzega przede wszystkim dobro, jakie czyni, rzadziej odczuwa potrzebę nieustannego potwierdzania własnej wartości przez instytucję. Być może dlatego od wieków znacznie więcej mówi się o grzechach niż o cnotach. Bo poczucie winy jest znakomitym narzędziem dyscyplinowania ludzi, podczas gdy poczucie godności czyni ich bardziej samodzielnymi.

Jest jeszcze jeden, śmiertelnie poważny powód, dla którego Kościół nie naprawi tego systemowego błędu. Musiałby bowiem przyznać, że sam Jezus Chrystus nie miał pojęcia o człowieczej naturze. Według Ewangelii Jana po zmartwychwstaniu rzekł on był do uczniów: „Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuścicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są zatrzymane".

Gdyby wprowadzono „spowiedź odwróconą", czyli wyznawanie dobra, trzeba by uznać, że Syn Boży się pomylił, stawiając na katalogowanie win zamiast sukcesów. A jeśli Syn się mylił, to i Ojciec jest niedoskonały.

Poza dobrem i złem

Jako teolog amator – czyli człowiek używający rozumu tam, gdzie inni używają kolan – widzę w Księdze Rodzaju wyjście z tej matni. Zostawmy na chwilę Chrystusa i jego pośmiertne obietnice o odpuszczaniu grzechów. Wróćmy do tej bajeczki o rajskim sadzie, którą kler sprzedaje nam jako fundament naszej rzekomej podłości.

Bóg zakazał żreć owoce z „drzewa poznania dobra i złego". Tradycyjnie klechy wmawiają, że zbrodnią Adama i Ewy było nieposłuszeństwo. A co, jeśli istotą grzechu pierworodnego było samo rozróżnianie? Wyraźnie widać, że Stwórca nie chciał, abyśmy operowali taką opozycją. Może w jego pierwotnym projekcie „zło" i „dobro" w ogóle nie istniały, a są jedynie wynikiem naszych ułomnych ludzkich ocen? Żadne inne zwierzę poza człowiekiem na tej Ziemi nie klasyfikuje rzeczywistości na „tę dobrą" i „tę złą".

Gdyby przyjąć tę logikę, cały ten cyrk ze spowiedzią traci rację bytu. Nie ma powodu, by kajać się za rzekomo „złe" czyny, ani sensu, by przechwalać się rzekomo „dobrymi". Jesteśmy po prostu zwierzętami, które czasem kogoś ugryzą, a czasem poliżą i nie ma w tym żadnej metafizyki. To rozumowanie jest tak zabójczo logiczne, że aż piękne.

Ale Watykan prędzej ogłosiłby, że Bóg przeszedł na judaizm albo w ogóle nie istnieje, niż zgodziłby się z taką interpretacją. Bo bez podziału na „dobre" i „złe" kler staje się równie użyteczny jak instrukcja obsługi zeszłorocznego śniegu. Oni żyją z tego rozdarcia. Bez waszego przekonania, że zrobiliście coś „złego", są tylko bandą przebierańców bez dochodów i bez władzy nad waszym strachem.

Wasza wolność od ocen to ich bankructwo!

ROBERT JARUGA

eprasa.pl be094cd7ef

Akademia Zabójców

Wolność, pokój, braterstwo po amerykańsku

Jednym z niezwykłych przykładów aktywności Waszyngtonu w zakresie prania mózgów, sztuki prowadzenia działań terrorystycznych oraz stosowania tortur podczas przesłuchań była szkoła dla latynoskich oficerów i żołnierzy, od 2001 r. znana pod długą i niewinną nazwą Instituto del Hemisferio Occidental para la Cooperación en Seguridad – Instytut Współpracy w Dziedzinie Bezpieczeństwa Półkuli Zachodniej. Językiem wykładowym szkoły jest hiszpański. Szkoła mieści się w Fort Benning w stanie Georgia i ma swoje motto: „Wolność, pokój, braterstwo". Obecnym szefem szkoły jest pułkownik o swojsko brzmiącym nazwisku Michael P. Rogowski.

Tradycja i absolwenci

Szkoła została założona w 1946 r. w zachodniej części strefy Kanału Panamskiego. Nazywała się wówczas Centro de Entrenamiento Latinoamericano, Division de Tierra (Centrum Szkolenia Latynoamerykańskich Sił Lądowych), a jej siedzibą był Fort Amador. Już w 1949 r. szkołę przeniesiono do Fort Gulick w innej części strefy kanałowej, zmieniając jej nazwę na Escuela del Caribe de Ejército de EEUU (Szkoła Amerykańskiego Wojska w Rejonie Karaibów).

W 1963 r. otrzymała nowa nazwę: Escuela de Américas – Szkoła Ameryk. Ta nazwa się utrwaliła i jest najczęściej stosowana. Wśród nacji latynoskich cieszy się ona złą sławą i jest określana mianem Academia de Asesinos (Akademia Zabójców). Przed jej siedzibą w Panamie miały miejsce nieustanne demonstracje domagające się zamknięcia szkoły. Jako że wszystkie te protesty odbywały się w atmosferze niechęci do Stanów Zjednoczonych, Reagan przeniósł szkołę do Fortu Benning.

Oficjalnym zadaniem szkoły było poprawianie ogólnych kwalifikacji żołnierzy z krajów latynoskich. W istocie rzeczy uczniowie od początku przechodzili agresywny kurs ideologiczny oparty na amerykańskiej doktrynie bezpieczeństwa narodowego.

Szkoła Ameryk w czasie swego istnienia wyedukowała ponad 60 tys. żołnierzy – w tym 10 prezydentów, 38 ministrów obrony i 70 różnego rodzaju komendantów wojskowych. Jej absolwenci stanowili dość homogeniczną grupę ludzi, głównie wojskowych i policjantów. Wśród nich znaleźli się: Jorge Rafael Videla, Roberto Eduardo Viola i Leopoldo Galtieri (Argentyna), Hugo Banzer (Boliwia), Manuel Contreras (Chile), Gustavo González López (Wenezuela), Hernán José Guzmán Rodríguez (Kolumbia), Joseph Raoul Cédras (Haiti), Guillermo Rodríguez (Ekwador), Vladimiro Montesinos (Peru), Efraín Ríos Montt i Manuel Antonio Callejas y Callejas (Gwatemala), Gustavo Adolfo Álvarez Martínez (Honduras) etc.

Przez Akademię Zabójców przewinęło się mnóstwo ludzi różnego autoramentu. Jednym z ciekawszych przypadków był Luis Arce Gómez, gangster narkotykowy, uczestnik zamachu stanu w Boliwii, w 1980 r. roli minister spraw wewnętrznych w rządzie generała Luisa Garcíi Mezy. Generał Meza i Arce Gómez rządzili około półtora roku. Przez ten czas wysłali na tamten świat ponad 500 osób, a 4000 umieścili w więzieniach.

Nie wszystkim swoim wychowankom Szkoła Ameryk zdołała spaczyć psychikę. Peruwiański generał Juan Velasco Alvarado w 1968 r. przeprowadził w Peru lewicowy zamach stanu w interesie Indian i rolników, czyli zupełnie na przekór swoim nauczycielom.

Szczególnym przypadkiem jest sprawa Augusto Pinocheta. Był on wychowankiem Akademii Morderców, o czym wzmiankuje wiele publikacji, ale ostatnio pojawił się trend negowania jego związków z tą szkołą. Wydaje się, że Szkoła Ameryk pragnie się odciąć od swego najsłynniejszego absolwenta.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Curriculum

Zwycięstwo rewolucji na Kubie było dla Szkoły Ameryk prawdziwym wstrząsem. Waszyngton uznał, że jego strefa wpływów może zostać zagrożona. W efekcie kursy ideologiczne stały się pełnometrażowym praniem mózgów. Uczono nienawiści do wszelkich ruchów lewicowych i niepodległościowych.

Amerykańskie władze postanowiły, że dla utrzymania wpływów i dominacji w Ameryce Łacińskiej trzeba zastosować bardziej bezwzględne i okrutne metody. W 1963 r. CIA stworzyła podręcznik tortur zwany „Kubark Contraintelligence Interrogation". W 1983 r. Agencja wyprodukowała następne tego typu dzieło „Human Resource Explotation Training Manual". „Kubark" był dokumentem ściśle tajnym i przez trzy dekady nikt nie wiedział o jego istnieniu, choć należał do podstawowych podręczników i na jego bazie przeszkolono tysiące adeptów szkoły.

Agenci CIA określali taktykę „Kubark" mianem „inteligentnego przesłuchania". Wstępne metody postępowania z przesłuchiwanym obejmowały psychiczne zastraszanie, wyznaczanie nagrody pieniężnej za głowę poszukiwanego, zmuszanie do przyjmowania narkotyków i różnych substancji psychoaktywnych: jak temazepam, etanol, hioscyna, tiopental etc. Wszyscy przesłuchiwani byli rozbierani do naga i przetrzymywani z kapturem na głowie, ze skutymi rękami i nogami. By szantażować przesłuchiwanego, zalecano porywanie i torturowanie członków jego rodziny. Fizyczne znęcanie się nad ofiarą obejmowało m.in. bicie, kopanie, wieszanie ze związanymi na plecach rękami, zanurzanie głowy przesłuchiwanego w zasolonej wodzie, kłucie, przypalanie prądem elektrycznym, głodzenie, nieustanne wybudzanie ze snu. Nauczycielami byli często członkowie amerykańskich jednostek specjalnych, np. Zielonych Beretów. Pewien żołnierz salwadorski wspominał, jak Zielone Berety przyprowadziły do jego garnizonu 16-letniego chłopca oskarżonego o przynależność do partyzantki i kazały miejscowym żołnierzom wbijać mu bagnety w palce i wyrywać paznokcie. Chłopca poddano także innym torturom, wskutek czego zmarł.

Schwytanych umieszczano w ukrytych, zaimprowizowanych obozach koncentracyjnych. Obozy lokowano najczęściej w nierzucających się w oczy miejscach, na peryferiach miast albo w buszu z daleka od siedzib ludzkich.

W Argentynie w okresie rządów prawicowej junty pod przywództwem wspomnianych wyżej Jorgego Videli i Roberta Violi (1976–1983) szefem policji w prowincji Buenos Aires był generał Ramón Camps, także wychowanek Escuela de Americas. Zarządzał on siecią 29 obozów koncentracyjnych rozsianych na terenie tej prowincji. Camps miał na sumieniu 32 zabójstwa, 120 przypadków torturowania schwytanych, dwa gwałty, dwa porody sprowokowane torturami, 18 przypadków okradania więźniów, 214 porwań etc.

W praktyce wobec podejrzanych oprawcy stosowali tortury zalecone w podręczniku „Kubark" – ale mogli także wykazywać się inwencją własną. Dobitnie ilustruje to historia amerykańskiej urszulanki Dianny Ortiz, która padła ofiarą represji prowadzonych przez innego wychowanka Szkoły Ameryk, gwatemalskiego ministra obrony generała Héctora Gramajo. W 1989 r. Ortiz była w Huehuetenengo w Gwatemali z misją edukacyjną i dobroczynną. 2 listopada została porwana przez policjantów. Na posterunku poddano ją 24-godzinnemu przesłuchaniu przerywanemu biciem, kopaniem i zbiorowymi gwałtami. Lekarze naliczyli na jej ciele także 111 śladów po gaszeniu papierosów. Na koniec przesłuchujący wrzucili ją do dołu, w którym trupy leżały razem z żywymi jeszcze ludźmi, dogorywającymi po torturach. Życie uratował jej fakt, iż wśród przesłuchujących był rodowity Amerykanin, którego rozpoznała po akcencie.

Po powrocie do USA Ortiz zażądała pociągnięcia oprawców do odpowiedzialności. Rząd Ronalda Reagana – ustami amerykańskiego ambasadora w Gwatemali Toma Stroocka – odpowiedział, że Stany Zjednoczone nie mają nic wspólnego z podobnymi okrucieństwami…

Walka o prawdę

Prezydent Jimmy Carter, który poważnie traktował pojęcie praw człowieka, zawiesił działalność szkoły. Ronald Reagan po objęciu prezydentury ponownie ją otworzył i udzielił szerokiego poparcia. Praktyki wychowanków Akademii Zabójców przez dziesięciolecia pozostawały w ukryciu. W 1990 r. amerykański ksiądz Roy Burgeois stworzył organizację SOA-Watch, która miała uważnie śledzić działalność Escuela de Americas. Inicjował też protesty przed siedzibą szkoły w Fort Benning. Za taką działalność ksiądz Burgeois i inni aktywiści zostali aresztowani i skazani na cztery lata więzienia.

Działalność Escuela de Americas była podejrzana nawet dla niektórych kongresmenów. W 1993 r. deputowani partii demokratycznej Marty Meehan, Joseph Kennedy i Joseph Moakley wystąpili z wnioskiem o zamknięcie szkoły albo przynajmniej zmniejszenie jej finansów. W 1996 r. – za prezydentury Billa Clintona – zdecydowano się odtajnić zawartość podręcznika „Kubark".

Osiągnięcia

Wszyscy, na których padł najmniejszy cień podejrzenia o nieodpowiednie sympatie, musieli zostać surowo ukarani.

Do historii przeszły wyczyny faszystowskiego salwadorskiego batalionu Atlacatl. Dowódcą był pułkownik Domingo Monterrosa, wychowanek Akademii Zabójców. Duża część żołnierzy batalionu również przeszła szkolenie w tej akademii. W grudniu 1981 r. batalion Atlacatl napadł na miejscowość El Mozote. Wymordowano tam 978 osób, kobiet, mężczyzn i dzieci. Najmłodsze miały po sześć lat.

W 1982 r. żołnierze z Atlacatl zamordowali w miejscowości El Calabazo ponad 200 osób. Jednym z głośniejszych mordów było zabójstwo biskupa Óscara Arnulfo Romero, znanego z walki o pokój i prawa człowieka. 23 marca 1980 r. wygłosił on pamiętną homilię, w której w imię chrześcijańskich wartości apelował do żołnierzy salwadorskich, by nie wykonywali rozkazów strzelania do ludzi. W dzień później został zabity przez członków szwadronów śmierci. Zleceniodawcą był czołowy polityk salwadorskiej prawicy major Roberto d'Aubisson, wychowanek Akademii Zabójców. Jednym z bardziej zasłużonych wychowanków Szkoły Ameryk był kolumbijski generał Agustín Ardila Uribe. W 1992 r. napadł na miejscowość Mapiripán w departamencie Meta. Jego oddziały ściśle współpracowały z narkotykowymi bojówkami, Autodefensas Unidas de Colombia. W Mapiripán napastnicy zamordowali 77 wieśniaków płci obojga, ścinając im głowy, podrzynając gardła i wypruwając wnętrzności.

Liczba ludzi, którzy za sprawą Akademii Zabójców przenieśli się na tamten świat lub ponieśli trwały ubytek na zdrowiu, nie jest znana. Czas pokaże, czy kiedykolwiek zostanie ujawniona.

ANDRZEJ ULMER

500 dni taryfowpierdolu

Skutki wojny celnej Trumpa

Jednym z głównych haseł Donalda Trumpa w kampanii wyborczej 2024 r. było: „zlikwiduję deficyt handlowy" i „przywrócimy produkcję do Ameryki". 2 kwietnia 2025 r. Trump ogłosił „dzień wyzwolenia". Zapowiedział największy od kilkudziesięciu lat pakiet ceł importowych, obejmujący praktycznie cały świat. Dzień stał się symbolicznym początkiem drugiej wojny handlowej Stanów Zjednoczonych. Celem wojny miały być renesans amerykańskiego przemysłu, nowe fabryki i wyższe pensje dla amerykańskich robotników. Głównym przeciwnikiem zaś były Chiny i Unia Europejska, które według Trumpa od lat miały bogacić się kosztem amerykańskich pracowników. Jak wygląda to dzisiaj?

Niedobrze i chyba nie mogło być inaczej. Z wielu wypowiedzi Trumpa wydaje się, że nie rozumie do dziś, czym w ogóle są cła. „Zamiast opodatkować naszych obywateli i wzbogacać obce kraje, my nałożymy cła i opodatkujemy obce kraje i wzbogacimy naszych obywateli" – tłumaczył swoją politykę rok temu. Tylko że opłat celnych nie płacą państwa. Cła płacą importerzy, którzy potem przerzucają koszty na klientów. Pierwszym efektem nałożonych ceł był więc wzrost cen niemal wszystkich produktów, bo amerykańskie fabryki nie mogą z dnia na dzień przestać importować surowców i komponentów.

Według najnowszych danych Biura Statystyki Pracy (BLS) amerykański przemysł stracił w ciągu ostatniego roku około 75 tys. miejsc pracy – to największy ubytek od czasów pandemii. Jednocześnie produkcja fabryk utrzymuje się na najwyższych poziomach od kilku lat. To pozorny paradoks. Firmy produkują więcej, ale zatrudniają mniej ludzi, bo coraz większą część pracy wykonują automaty, oprogramowanie i roboty.

A wojna celna rozpoczęta 2 kwietnia szybko wywołała reakcję pozostałych światowych graczy. Pekin odpowiedział klasycznie – własnymi taryfami i ograniczeniami eksportowymi, zwłaszcza dotyczącymi surowców strategicznych i metali ziem rzadkich. Przestali też kupować amerykańskie produkty rolne, co mocno uderzyło w amerykańskich rolników. Mimo groźnych zapowiedzi Trumpa ostatecznie obie strony szybko rozpoczęły negocjacje, a część najbardziej dotkliwych ceł została dwustronnie zniesiona.

Z tego starcia Chiny wyszły wzmocnione: w 2025 r. nadwyżka handlowa Chin w eksporcie towarów przekroczyła historyczną barierę 1 bln dol. Choć bezpośredni eksport do USA spadł, Chiny przekierowały swój eksport do krajów ASEAN, Ameryki Południowej, Meksyku i na Bliski Wschód.

Unia Europejska również przygotowała własne cła odwetowe, ale od razu też rozpoczęła rozmowy z Waszyngtonem i rozglądała się za innymi partnerami. Ostatecznie UE i USA podpisały porozumienie z Turnberry (obowiązuje w pełni od 1 lipca tego roku), które ogranicza eskalację wojny celnej, bo UE zaakceptowała podstawową stawkę celną w wysokości 15 proc. na większość swojego eksportu do USA. Jednocześnie agresywna postawa USA popchnęła UE do podpisania umów wolnego handlu z krajami Ameryki Południowej, Australią, Indiami, Meksykiem i Kanadą, zwłaszcza w zakresie dostaw gazu ziemnego jako alternatywy dla gazu amerykańskiego.

Podobnie zareagowali partnerzy USA z dawnego porozumienia o wolnym handlu NAFTA: oba kraje – Kanada i Meksyk – wspólnie negocjowały zmianę obecnego porozumienia o handlu ze swoim wojowniczym sąsiadem, wspólnie też nakładały cła odwetowe i wspólnie walczą przed organami arbitrażowymi z ich zdaniem nielegalnymi działaniami amerykańskiej administracji.

Wojna celna Trumpa wywołała więc chaos, ale ostatecznie popchnęła świat raczej do rozwijania globalnego wolnego handlu.

Największy cios przyszedł z Waszyngtonu. W lutym 2026 r. Sąd Najwyższy USA uznał, że prezydent nie miał prawa wykorzystać ustawy o nadzwyczajnych uprawnieniach (IEEPA) do nałożenia tak szerokich

eprasa.pl be094cd7ef

Jak prawicowy populizm wdarł się do hiszpańskiej eksklawy

Marokański koń trojański

Z 30 na 31 lipca 2026 r. w ciągu jednej doby hiszpańska Ceuta – licząca niespełna 85 tys. mieszkańców eksklawa na marokańskim wybrzeżu – stała się miejscem największego kryzysu migracyjnego od 2021 r. na granicy UE z Marokiem. Hordy dzikusów ruszyły do szturmu politycznego.

(Nie)solidarni

Kryzys wybuchł, gdy ponad 60 tys. migrantów z Maroka przedarło się do hiszpańskiego miasta w Afryce. Większość z nich dotarła do wybrzeży Ceuty drogą morską, opływając wpław falochron Tarajal, będący morskim przedłużeniem bariery granicznej. Dla blisko 150 z nich była to ostatnia droga. Część utonęła, reszta została przygnieciona podczas próby przedarcia się przez falochron.

Europejscy przywódcy jak na komendę dostali amoku. Premier Włoch Giorgia Meloni zdecydowała o zamknięciu granic morskich i lotniczych z Hiszpanią oraz zawieszeniu swobodnego przemieszczania się w ramach strefy Schengen. Jej partia oficjalnie zażądała ukarania Madrytu za brak skutecznej ochrony granic. Po pilnych konsultacjach z rządem włoskim do rozważenia oficjalnego zawieszenia współpracy z Hiszpanią w ramach Schengen wezwała premier Danii Mette Fredriksen. Na deser rzuciła, że państwa nieradzące sobie z ochroną granic zewnętrznych nie powinny być członkami tej strefy. Równie ostro zareagowali fińska minister spraw wewnętrznych Mari Rantanen i premier Czech Andrej Babiš.

Premier Donald Tusk, zamiast pałować rząd Pedra Sáncheza, zareklamował rozwiązania antyimigracyjne znad Wisły i upomniał Hiszpanów, że jeśli Schengen ma przetrwać, powinni przekalkować metody z granicy polsko-białoruskiej. Szef Kancelarii Prezydenta RP Zbigniew Bogucki perorował, jak wielkim zagrożeniem dla rodzimej kultury, tożsamości i samej Polski są wydarzenia z Ceuty i wskazał winnych: środowiska lewicowe i socjalistyczne, „które w ramach poprawności politycznej uznają, że państwa nie mają bronić swoich granic". To wszystko gówno prawda.

Brzydkie sprawki

Ceuta jako jedna z dwóch hiszpańskich eksklaw w Afryce jest wyłączona ze Strefy Schengen. Migranci, którzy dostaną się na jej terytorium, nie mogą dalej swobodnie podróżować na kontynent. Premier Sánchez nazwał wydarzenia „naruszeniem integralności terytorialnej Hiszpanii" i zapowiedział przyśpieszenie odsyłania osób, które nielegalnie przekroczyły granicę. Rząd w Madrycie skierował do Ceuty wojsko i odrzucił wniosek lokalnych władz o ogłoszenie stanu wyjątkowego, bo jak wyjaśniło hiszpańskie MSW, krajowe prawo nie przewiduje takiego stanu dla kryzysów migracyjnych. Dziesiątki tysięcy niespodziewanych gości, którzy przybyli falą z Maroka do Ceuty, niespełna dobę później wracały do ojczyzny.

W piśmie skierowanym do szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, przewodniczącego Rady Europejskiej Antonia Costy i premiera Irlandii Michaela Martina, którego kraj sprawuje przewodnictwo w Radzie UE, Pedro Sánchez zarzucił części państw członkowskich egoizm. Przypomniał jednocześnie, że Hiszpania okazywała solidarność partnerom w czasie kryzysów migracyjnych, przyjmując migrantów m.in. po kryzysie na granicy z Białorusią w 2021 r. oraz po napływie migrantów na włoską wyspę Lampedusa w 2023 r.

Kilka kopniaków sprzedały Hiszpanom także Stany Zjednoczone. Donald Trump skomentował kryzys migracyjny w Ceucie, przekonując w Fox News, że podobny obraz czeka USA, jeśli demokraci zwyciężą w najbliższych wyborach. Wpis w serwisie X opublikował też wiceprezydent J.D. Vance. „Dzięki Bogu, że Donald Trump został wybrany i że granica naszego kraju nie wygląda już w ten sposób" – napisał. Dodał, że „te obrazy z Hiszpanii są smutnym przypomnieniem konsekwencji masowej migracji oraz radykalnej lewicowej polityki globalistycznej, która umożliwiła inwazję na Zachód".



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nie była to zatem „niekontrolowana fala emigrantów z całego kontynentu", lecz cyniczna operacja przygotowana przez marokański rząd przy użyciu własnych obywateli.

To pstryczek w stronę wyroku hiszpańskiego Sądu Najwyższego, który 8 lipca orzekł, że nielegalne są natychmiastowe deportacje migrantów przybywających do kraju drogą morską. Należy bowiem każdy przypadek badać indywidualnie. Marokańskie media społecznościowe z automatu zalała fala fałszywych informacji o rzekomo otwartej granicy. Różnica poziomu życia między Hiszpanią a Marokiem wynosi 5:1 pod względem dochodu na mieszkańca. To najbardziej radykalna granica nierówności ekonomicznych w Europie. Nikogo nie trzeba było specjalnie zachęcać do zmiany lokalizacji, szczególnie że marokańskie służby unieszkodliwiły dotychczasowe blokady i punkty kontrolne. Kiedy nowo przybyli zorientowali się, że nikt nie czeka na nich z otwartymi ramionami, natychmiast zawrócili.

Warto podkreślić, że kryzys w Ceucie wybuchł w momencie, gdy dane unijnej agencji Frontex za pierwsze półrocze 2026 r. pokazywały spadek nielegalnych przekroczeń granic UE o 37 proc.

Dlaczego Maroko zdecydowało się na tak bezwzględny krok? Z powodu geopolitycznych nacisków wywieranych na Hiszpanię i UE. Chodzi o Saharę Zachodnią, ale nie tylko.

Trudne położenie

Maroko kontroluje ok. 80 proc. Sahary Zachodniej. Przeciwko niemu występuje narodowowyzwoleńczy ruch rdzennej ludności (Saharawi) o nazwie Front Polisario, który proklamował Demokratyczną Arabską Republikę Saharyjską. Głównym protektorem i zapleczem militarnym Frontu Polisario jest Algieria. Rywalizacja algiersko-marokańska o hegemonię w rewirze utrzymuje stan permanentnego napięcia wojskowego.

W 2021 r. do Ceuty w kilka dni przedostało się 8 tys. osób. Wzmożenie było skutkiem przyjęcia przez Hiszpanię na leczenie Brahima Ghaliego, lidera Frontu Polisario. Marokańskie służby dostały wkurwu i przestały kontrolować granicę. Po tym, gdy w 2022 r. Madryt poparł marokański plan autonomii Sahary Zachodniej, relacje się poprawiły, a liczba przekroczeń spadła. Algieria natychmiast zawiesiła traktat o przyjaźni z Hiszpanią. Jakakolwiek współpraca Madrytu z którymś z państw wywołuje natychmiastową reakcję tego drugiego.

20 lipca premier Hiszpanii Pedro Sánchez złożył oficjalną wizytę w Algierii. Przywódcy obu krajów rozmawiali o zacieśnieniu współpracy w dziedzinie energetyki, energii odnawialnej, handlu i inwestycji, a także o rozszerzeniu współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa, wymiaru sprawiedliwości i spraw konsularnych. Maroko chce, by Hiszpania – wzorem USA i Izraela – zaakceptowała plan aneksji Sahary Zachodniej. Dodatkowo Maroko oficjalnie uznaje hiszpańskie miasta autonomiczne Ceutę i Melillę za terytoria okupowane i uważa je za część swojego kraju. Wtórują mu w tym amerykańska prawica i – a jakże – Izrael. Mięta między państwami nie pojawiła się przypadkowo. USA interesują się Marokiem, ponieważ stanowi ono kluczowy filar amerykańskiego bezpieczeństwa i gospodarki w Afryce Północnej i regionie Sahelu. Izrael natomiast po podpisaniu przez Maroko w 2020 r. tzw. Porozumień Abrahamowych stał się jednym z najważniejszych marokańskich dostawców broni. W związku z antyamerykańską polityką Sáncheza w kwestii palestyńskiej i wojny w Iranie Hiszpania znalazła się na trzech celownikach.

Sánchez jest ostatnim lewicowym politykiem, który stoi na czele dużego kraju UE. Czy można zatem założyć, że to on był celem szturmu uchodźców na Ceutę? Na to wychodzi. Europejscy populiści zrobili zaś dokładnie to, czego chciała marokańska dyktatura pod amerykańsko-izraelskim przywództwem. I to zanim sprawdzili, gdzie leży Ceuta i czy aby na pewno w Europie.

IDALIA DUBICKA

---

ceł. Administracja przekroczyła swoje kompetencje, więc

ogromna część ceł nałożonych przez Trumpa była po prostu nielegalna. Wyrok oznaczał konieczność zwrotu gigantycznych kwot pobranych od importerów i wielki chaos,

bo trzeba było spojrzeć wstecz i dokładnie policzyć, ile i komu należy zwrócić. Szacunki mówiły o ponad 175 mld dol. nielegalnie pobranych taryf, a według oficjalnych danych do połowy 2026 r. administracja zwróciła już około 81 mld dol. importerom. Trump próbuje zastąpić unieważnione cła nowymi nakładanymi na podstawie innych ustaw, jednak również one szybko trafiły do sądów. Na bałaganie korzystają więc na razie księgowi i prawnicy.

W sierpniu minie 500 dni od rozpoczęcia przez USA wojny handlowej w „dniu wyzwolenia". Na razie wojna handlowa idzie Trumpowi podobnie jak wojna z Iranem – dużo chaosu, mało korzyści.

Oczywiście idea polityki celnej od początku miała dać korzyści w długim terminie. Gdy import będzie mniej opłacalny, firmy w końcu przeniosą produkcję do Stanów Zjednoczonych i stworzą dobrze płatne miejsca pracy dla amerykańskich robotników.



Rys. MAURIZIO DI BONA

Na razie jest inaczej. Produkcja przemysłowa w USA rośnie, ale zatrudnienie w fabrykach – nie. Niepewność ekonomiczna dodatkowo zachęciła do ograniczania kosztów pracy. Firmy inwestują w robotyzację, automatyzację i oprogramowanie, które pozwala produkować więcej przy mniejszej liczbie ludzi.

Na razie największymi wygranymi wydają się więc producenci nowoczesnych technologii, dostawcy systemów automatyki, prawnicy specjalizujący się w handlu międzynarodowym i księgowi rozliczający kolejne zmiany w taryfach. Tymczasem amerykański robotnik, który miał być głównym beneficjentem, widzi tylko wyższe ceny i mniej ogłoszeń o pracę. Fabryki produkują więcej, ale coraz częściej bez niego. Wygrały roboty, a robotnik dostał w ryj.

LEON ORŁOWSKI

Obozy koncentracyjne Ben-Gvira

Zinstytucjonalizowana polityka upokarzania

Izraelski minister bezpieczeństwa narodowego Itamar Ben-Gvir zamienił więzienia okupacyjne w miejsca zorganizowanych tortur. Od kiedy objął stanowisko – pod koniec 2022 r. – prowadzi politykę intencjonalnego łamania prawa międzynarodowego i norm humanitarnych.

Izraelskie więzienia stały się miejscem celowego głodzenia i zaniedbań medycznych – więźniowie są pozbawieni odpowiedniego jedzenia, czystej wody, podstawowej opieki zdrowotnej. Ta polityka doprowadziła już do wielu zgonów i trwałych obrażeń. Cierpienie więźniów jest potęgowane poprzez izolację w ciemnych celach oraz tortury fizyczne i psychiczne – od deptania głów poprzez zmuszanie do wielogodzinnego leżenia twarzą do ziemi aż do wyświetlania zdjęć zrównanej z ziemią Gazy.

Protesty osadzonych wywołują u ministra bezpieczeństwa nietajoną wesołość. „Więzienie to nie hotel" – pouczył Ben-Gvir podczas wizytacji zakładu karnego jedną ze skarżących się więźniarek, po czym z dumą umieścił nagranie z tej rozmowy w internecie. Doprowadzenie kobiety do łez izraelski minister uznał za swój sukces. Możemy też obejrzeć, jak Ben-Gvir poucza palestyńskich jeńców, że ich jedyną opcją jest „patrzenie w ściany", grozi więźniowi Marwanowi Barghouthiemu, wzywa do wykonania na osadzonych kary śmierci.

Resort Ben-Gvira blokuje jakąkolwiek kontrolę ze strony inspektorów Ministerstwa Sprawiedliwości i izby adwokackiej, przekształcając więzienia w zamknięte ośrodki bezprawia.

Szacuje się, że w izraelskich więzieniach przebywa około 9500 palestyńskich więźniów, w tym 94 kobiety i ponad 350 dzieci. Ponad 3300 jest przetrzymywanych na podstawie decyzji administracyjnych, nie tylko bez wyroku, ale nawet bez postawienia zarzutów.

Warunki, w jakich znajdują się ci ludzie, organizacje praw człowieka określiły jako katastrofalne. Fundacja Hind Rajab – nosząca imię sześcioletniej Palestynki, która przed śmiercią przez kilka godzin oczekiwała na pomoc w ostrzelanym przez IDF aucie pośród ciał swoich bliskich; ratownicy wysłani jej na ratunek także zostali zamordowani przez izraelskich żołnierzy – złożyła skargę do amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości, oskarżając Ben-Gvira o zbrodnie wojenne. Organizacja o nazwie Palestyński Klub Więźniów – założona w latach 90. przez ówczesnych więźniów politycznych Izraela i zajmująca się pomocą osadzonym – wezwała do powołania międzynarodowej komisji śledczej.

Nawet izraelska prasa opisuje Ben-Gvira jako „człowieka, którego cechuje chorobliwa nienawiść do Arabów". Mało tego: Sąd Najwyższy Izraela wydał nakaz poprawy wyżywienia więźniów, co wskazuje na niezwykłą skalę naruszeń.

To, co robi Ben-Gvir, to nie tylko „zaostrzenie polityki bezpieczeństwa" – to zinstytucjonalizowanie odpowiedzialności zbiorowej i upokarzania ludzi. Działania ministra obnażają rasistowski charakter izraelskiej polityki i powtarzają scenariusz apartheidu.

I tak jak ten zbrodniczy rasistowski system upadł w Afryce Południowej, tak upadnie i w Izraelu. Nadejdzie dzień, gdy na terenie całej Palestyny powstanie jedno demokratyczne państwo, w którym wszyscy – muzułmanie, chrześcijanie i żydzi – będą żyć razem, z równymi prawami i wspólnymi obowiązkami.

OMAR FARIS

eprasa.pl be094cd7ef

Korespondencja z Rosji

Kreml wymachuje internetem



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Internetowa Rosja wita mnie kilka minut po wylądowaniu, jeszcze na pokładzie samolotu. Mój do tej pory milczący telefon (Play obraziło się na Rosję i nie daje żadnych informacji o kosztach połączenia, internetu, SMS-ów – ale kasę za połączenia bierze) cichutko pisnął, pokazując wiadomość: „Internet i SMS są zablokowane na 24 godziny. Aby posługiwać się internetem i SMS-ami, odłącz wi-fi, VPN i bezpłatnie przejdź weryfikację twojej SIM karty za pomocą…" (i tu link do strony sieci MTS) „lub według numeru telefonu" (i numer). I to wszystko. Żadnego tam „przepraszamy za niedogodności" albo instruktażu, jak się zachować podczas sytuacji kryzysowych, czy można dzwonić na 112 lub po inne służby. Nic.

Nie będę was trzymał w niepewności: w dupę sobie można włożyć te porady. Mój polski numer telefonu zamilkł jak złota rybka. Ale to przecież nie problem: wystarczy kupić rosyjską kartę i po kłopocie. Przynajmniej tak było do tej pory. Ale to już się skończyło.

Daj głos

Przemiła pani w punkcie jednej z rosyjskich sieci telefonii komórkowej cmoknęła ze współczuciem:

– Cudzoziemiec? Uuuuu, to będzie trudne. Nie mogę panu sprzedać karty na telefon. To znaczy mogę, ale przedtem musi pan przetłumaczyć paszport. Poświadczyć tłumaczenie notarialnie. Następnie zarejestrować się w Gosusługach (coś w rodzaju naszego mObywatela). Przejść wszelkie weryfikacje. Potem, po zarejestrowaniu, udać się do MFC (Mnogofunkcionalnyj Centr Predostawlenija Gosudarstwennyh i Municypalnych Usług – Wielofunkcyjne Centrum Świadczenia Usług Państwowych i Samorządowych Usług). Stamtąd skierują pana do któregoś z wybranych salonów sieci komórkowej, by zostawił pan tam swoje odciski, fotografię i próbkę głosu. Gdy już pan przejdzie wszystkie te próby ognia i wody, może pan do mnie wrócić i kupić kartę jak kilogram kartofli.

Cudnie, myślę sobie. Tłumaczenie paszportu, notarialnie poświadczone, to co najmniej dwa dni. Może więcej. I parę groszy oczywiście. Potem rejestracja w Gosusługach. Przechodziłem przez to kiedyś i gwarantuję wam, że to droga przez mękę. Potem oddział MFC. Salon, specjalnie wybrany, bo przecież nie wszystkie są wyposażone w urządzenia do rejestracji głosu i czego tam jeszcze. Kolejne mordercze zmagania z rosyjską biurokracją. I już po kilku dniach, akurat wtedy, gdy muszę wracać do Polski, mogę kupić sobie kartę, by łączyć się z przyjaciółmi i znajomymi. Mać wasza…

Wpadnę chociaż do banku, myślę sobie, by zorientować się, jaki jest stan moich finansów w rosyjskim banku, bardzo znanym, tracącym mnóstwo pieniędzy na reklamy w mediach i na wszelkich innych nośnikach – Alfa Banku.

– Dzień dobry. Jestem waszym klientem, chciałbym się dowiedzieć, ile mam pieniędzy na koncie. Oto mój paszport, na podstawie którego otwierałem wspomniane konto. Mam wasze karty, ale w bankomacie nie ma funkcji sprawdzenia wysokości konta.

– Dzień dobry. Jak miło, że pan do nas zawitał. Oczywiście, z przyjemnością przekażemy panu wszelkie dane, jak tylko zjawi się pan u nas w oddziale z przetłumaczonym paszportem. Oczywiście poświadczonym notarialnie.

– Panie – mówię, trzęsąc się ze złości – przecież skan mojego paszportu jest u was od czasu, kiedy otwierałem ten chromolony rachunek.

– Nie szkodzi, przepisy są takie, że tylko z przetłumaczonym paszportem…

– …poświadczonym notarialnie… – mówię słabnącymi usty.

– …otóż to. Ale proszę się nie denerwować, przecież może pan zalogować się na bankowej aplikacji i ma pan z głowy.

– Nie mogę otóż, gdyż aplikacja żąda ode mnie wyłącznie rosyjskiego numeru telefonu. Stary stracił ważność, a nowy… sam pan wie.

– No tak, przykro nam, do widzenia.

MAX niemaksymalny

Czyli mogę w Rosji korzystać z dobrodziejstw internetu pod warunkiem, że kilka najbliższych dni spędzę przed ekranem komputera albo w korytarzach urzędów. I wtedy mogę zadzwonić, do kogo chcę. Pod warunkiem oczywiście, że nie zapragnę znienacka pogadać z kimś przez Telegram (zablokowany) albo przez Messenger Facebooka (też zablokowany). Mogę oczywiście otworzyć sobie konto na MAX i gadać do woli. MAX – wymyślili sobie rosyjscy biurokraci – ma zastąpić Facebooka, YouTube'a, Telegram i co tam jeszcze. Czemu rosyjscy obywatele mają wyrzucić do kosza swoje dotychczas używane i dobrze działające komunikatory i przejść na MAX-a? Dlatego, że jest świetny, a nawet jeszcze świetniejszy od tamtych zachodnich, mówią im. Nieprawda.

MAX jest słaby jak tygodniowe kocię i niewiele potrafi. Za to wszelkie instytucje przechodzą na MAX-a, ponieważ są do tego zmuszone. Może więc jednak MAX? – Zwariowałeś? Tam dopiero jesteś pod lupą rosyjskich służb – uprzedza kolega dziennikarz.

Pokazuje rolkę, gdzie rosyjski biznesmen dzwoni przez MAX do FSB (Federalna Służba Bezpieczeństwa) i prosi o adres człowieka, który przed chwilą do niego dzwonił, bo nie zdążył zapisać. „Bo przecież cały czas mnie podsłuchujecie". Odpowiedź: „Tak. I co z tego?". Adres wreszcie otrzymuje razem z życzliwą radą, żeby wciągnął brzuch, bo źle wygląda. Zabawne, choć pewnie nie wszystkich śmieszy.

Telegram, jeden z najpopularniejszych w Rosji komunikatorów, dzisiaj też jest zablokowany przez Roskomnadzor (Federalna Służba ds. Nadzoru w Sferze Łączności, Technologii Informacyjnych i Komunikacji Masowej). Zaczęli spowalniać latem 2025 r., zablokowano całkowicie w lutym 2026. Powody znane do bólu: twórca Telegrama, czyli Paweł Durow, odmówił udostępnienia kluczy dostępu do komunikatora służbom specjalnym. Durow, żeby była jasność, wyjechał z Rosji z powodu nacisków służb właśnie. By obraz był pełny, nadmienię, że kilka dni temu opublikował emocjonalne wystąpienie, że uciekł z Rosji przed cenzurą i oto jest świadkiem, jak cenzura państwowa go dogoniła we Francji i w całej Europie Zachodniej, panuje w najlepsze, a ludzie piszący krytyczne teksty trafiają za kraty.

W lutym tego roku służby rosyjskie poszły na całość: oskarżono Durowa o „wspieranie terroryzmu". FSB ogłosiła, że np. w 2022 r. przy pomocy Telegrama popełniono ponad 153 tys. przestępstw i wykroczeń, a dzielni funkcjonariusze FSB zapobiegli 475 przygotowywanym za pośrednictwem Telegrama atakom terrorystycznym. Za pomocą komunikatora koordynowano ponoć atak na centrum handlowe Krokus i zamach na Dugina, w wyniku którego zginęła jego córka. „Wróg korzystał z analityki Telegrama". Podobnie było z Facebookiem.

Telegram jest zablokowany na terenie całej Rosji. Facebook też. Tak samo jak YouTube. Wszyscy Rosjanie korzystają z Telegrama, Facebooka i YouTube'a. Reklamują swoje kanały w Telegramie najwięksi propagandziści rosyjskich mediów: Władimir Sołowiow, Siergiej Mardan i szanowani przez swoich odbiorców korespondenci wojskowi z pierwszej linii frontu: Jewgenij Poddubny, Aleksander Koc, Swietłana Pikta… Reklamują w państwowej telewizji kanały na Telegramie. Oficjalnie. Nagrywają niesłychanie ważne i ciekawe podcasty na YT, piszą na Facebooku.

VPN centralnie planowany

Poniżej zapis rozmowy między zastępcą szefa Roskomnadzoru Tierliakowa a Natalią Kasperską, współtwórczynią Laboratorium Kasperskiego.

Tierliakow: „Kto nas lubi, a kto nie, zostawmy to na boku. Robimy swoją robotę. Mamy zadanie i będziemy je realizować. Możemy z wami albo bez was".

Kasperska: „A macie jakieś [konkretne] wyniki blokowania? Na przykład zablokowaliście Telegram?".

Tierliakow: „Oczywiście".

Kasperska: „Koledzy, podnieście ręce, kto korzysta z Telegramu". (Wszyscy podnieśli ręce).

Tierliakow: „No to o co wam chodzi, jeśli u was wszystko działa? Wynika z tego, że Roskomnadzor nie jest taki zły".

Schizofrenia przy tym to łagodna choroba wieku dziecięcego.

Oczywiście, można ryczeć ze śmiechu nad tymi, którzy podejmują cenzorskie decyzje okraszone zazwyczaj nader gromkimi słowami o bezpieczeństwie państwa, dzieci, kobiet, a najczęściej wszystkich naraz. Można dworować sobie razem z rosyjskimi dziennikarzami, którzy tarzają się ze śmiechu nad kolejnymi pomysłami urzędników albo posłów. Na przykład takim, by VPN, dzięki któremu Rosjanie obchodzą te wszystkie zakazy, był jeden, ale za to centralny. Po zablokowaniu wszystkich innych dostęp do jednego, centralnego VPN będzie przydzielany poszczególnym służbom, strukturom i urzędom, dla których to będzie niezbędne w pracy. Poszczególni obywatele też dostaną, jak ładnie poproszą i uzasadnią konieczność wypłynięcia na szerokie przestworza światowego internetu. Ale nie jest zabawne, gdy rosyjskie media donoszą o kolejnych aresztowanych lub emerytach skazanych na drakońskie kary pieniężne za jakiś wpis w zamkniętych grupach.

Tak, odpowiadają rosyjscy biurokraci, ale w takiej Wielkiej Brytanii siedzi za wpisy w internecie ileś tam osób, podobnie we Francji, a u nas w Rosji wcale nie tak dużo. Być może, ale od tego nie jest lżej. I nie bawi mnie, gdy w tej części reportażu i w następnej będę musiał kamuflować nazwiska, funkcje, płeć moich rozmówców, by im po prostu nie zaszkodzić.

Deputowany Swincow, zastępca komitetu ds. polityki informacyjnej grzmi: YT, Telegram, Instagram, FB są wykorzystywane przez amerykański wywiad do zbierania informacji i pracy szpiegowskiej. Dlatego zalegalizowanie ich w Rosji to sprawa dalekiej przyszłości.

Obywatele, słysząc takie dyrdymały, klną ile wlezie. I tracą zaufanie do swojego państwa.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

Trumpolandia

Trump Media – firma, będąca właścicielem trumpowego twittera pn. Truth Social – oferuje abonament o wysokości 100 tys. dol. miesięcznie, w ramach którego abonenci będą mieli wcześniejszy dostęp do tweetów prezydenta. I zanim zapytacie, kto zapłaci sto kafli za możliwość czytania tego bełkotu – warto przypomnieć, że ten bełkoczący dement jest prezydentem USA. Co oznacza, że jego jeden wyrzyg słowny – np. o tym, że zawieszenie broni z Iranem jest „skończone" – powoduje błyskawiczny wzrost cen ropy. Bardzo pożyteczna wiedza dla spekulantów giełdowych wszelkiej maści, którzy odbiją sobie te sto tysi po tysiąckroć. A kto ową stówkę przytuli? Właściciel firmy Trump Media. Możecie zgadywać trzy razy, kto to jest.

„Mamy najbardziej elitarnych wojowników na ziemi" – ogłosił tzw. sekretarz wojny Pete Hegseth. „Naszą największą, decydującą przewagą taktyczną zawsze będzie pojedynczy wojownik. Mamy święty obowiązek utrzymać tę przewagę i dlatego musimy ciągle szukać nowych dróg dla zoptymalizowania waszych osiągnięć, waszej odporności i waszego długoterminowego zdrowia" – dodał, zwracając się wprost do żołnierzy. Zanim zdążyli się ucieszyć, że departament zaangażuje się np. w naprawę upadającego systemu opieki nad weteranami – okazało się, że chodzi o coś zgoła innego. Hegseth ogłosił z dumą, iż „dziś autoryzuje nowy program badań przesiewowych na deficyt testosteronu u wszystkich pełniących służbę". Obowiązkowe badania będą dotyczyć żołnierzy po trzydziestce. Jak się okaże, że testosteron jest za niski – Hegseth funduje „wojownikom" terapię hormonalną, aby utrzymać ich „na czołowej krawędzi zabójczości". Nie do końca wiadomo, jaką terapię zafunduje żołnierkom – które też będą poddane badaniom przesiewowym – zważywszy, że nie istnieje żadna medycznie uznana procedura suplementacji testosteronu u kobiet. Ale kto by się tam babami w wojsku przejmował...

Do innej bezcennej inicjatywy Departamentu Wojny dotarł CNN. „Szukamy nowych, kreatywnych i niekonwencjonalnych sposobów naciskania i ukarania Iranu" – napisał oficer z wydziału wywiadowczego Centralnego Dowództwa USA w wysłanym do szerokiego grona analityków wojskowych mailu zatytułowanym „Potrzebujemy idei". Jeżeli koncept budowania strategii wojennej metodą burzy mózgów wydaje się komuś rozpaczliwy – to warto zważyć alternatywę. Otóż ogólna ocena wywiadu jest taka, że podziemnych bunkrów, w których Iran produkuje i składuje broń, nie da się zniszczyć z powietrza – konieczna byłaby inwazja lądowa, a tego amerykańska opinia publiczna nie wytrzyma; i tak powtarzają się zarzuty, że Trump łże na temat liczby poległych amerykańskich „wojowników", która oficjalnie wynosi 18. Wobec czego prezydent rozważa „fajerwerki" – wywalenie rakietami do tych samych celów, które zostały zniszczone rok temu, żeby odnieść „symboliczne zwycięstwo". „Potrzebujemy idei", jako żywo.

Na Dolnym Manhattanie w tajemniczy sposób pojawiła się trzymetrowa statua w formie pucharu z napisem „Participation Trophy" – nagroda za uczestnictwo. Puchar jest złoty, oznaczony numerem 1 i plakietką: „Niniejszym nagradzamy prezydenta Donalda J. Trumpa tym trofeum za uczestnictwo, za jego entuzjastyczne zaangażowanie w wojnie z Iranem. Niektórzy kłopoczą się strategią militarną, dyplomacją albo mierzalnymi wynikami – prezydent Trump zademonstrował odwagę uczestniczenia niezależnie od finalnego wyniku. Jako oznaczony tą prestiżową nagrodą prezydent Trump dołącza do dzieci na całym świecie, które zostały docenione za to, że się stawiły".

AWŁ

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl be094cd7ef

Heroldzi zdziczenia

Można w ringu zarobić duże pieniądze i nie mieć podbitego oka



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Prezydent FIFA Gianni Infantino na polecenie prezydenta USA Donalda Trumpa zamienił sportowe widowisko, jakim jest piłkarski mundial, w rozrywkowy show. Jeden pomysł mi się nawet podobał: do prezentacji wychodziły całe drużyny, a nie tylko pierwsza jedenastka. Ale na tym chyba pozytywy się skończyły.

Wprowadzono dodatkowe przerwy. Podczas każdej z połów piłkarze schodzili z boiska na nawodnienie – tzw. *hydration break* – a komercyjne stacje telewizyjne nadawały w tym czasie reklamy. TVP, której jako publicznemu nadawcy nie wolno przerywać widowisk sportowych reklamami, musiała pokazywać piłkarzy popijających wodę i zgrzytać zębami, że inni zarabiają, a oni nie. Dopiero pod koniec mundialu – widocznie po konsultacjach z prawnikami – uznano, że można nadawać reklamy, początkowo jedną, później więcej, zaznaczając wszakże wyraźnie, iż odbywa się to w ramach *hydration break*, a więc formalnej, regulaminowej przerwy. W finale przerwa między połowami nie trwała zgodnych z przepisami 15 min, ale znacznie dłużej, bo w tym czasie produkowali się na płycie boiska przeróżni artyści.

Futbol jak MMA

Było jeszcze coś, co mogło umknąć naszym telewidzom. Jeden z meczów półfinałowych (Francja–Hiszpania), a także finał zapowiadała postać z zupełnie innej dyscypliny, mianowicie znany announcer, czyli konferansjer walk MMA Bruce Buffer. Kojarzył się dotychczas wyłącznie z okładaniem się po gębach i brzuchach, a nie z kopaniem piłki i ewentualnie nóg rywali (choć w MMA kopanie jest też dozwolone, a nawet wskazane). Kibice czekali na słynny okrzyk Bruce'a Buffera: *it's time* (już czas), który stał się jego znakiem firmowym, i doczekali się.

Zapowiadanie sportów walki stało się bardzo intratnym zajęciem rodziny Bufferów. Zanim rozbłysła – jeśli można tak powiedzieć – gwiazda Bruce'a, wielkie pieniądze w ringach bokserskich zarobił jego przyrodni brat Michael. Dziś jego majątek ocenia się na ok. pół miliarda dolarów. Bruce jest znacznie biedniejszy: dzięki okrzykom w oktagonie, głównie federacji UFC, dorobił się ledwie 15 mln dol. Te dane, które znalazłem w internecie, mogą zresztą być nieaktualne.

Nic dziwnego, że 69-latek łapie każdą okazję do zarobienia i można go nawet zaprosić na ślub, aby gromkim głosem zapowiedział, że już czas się pobrać. Ile winszuje sobie za taką chałturę? Dokładnie nie wiadomo, lecz krążą opinie, że między 50 a 100 tys. dol. Jeśli bardzo Was gnębi ciekawość, zawsze możecie skontaktować się z menedżerem Buffera i zaproponować przyjazd na rodzinną uroczystość.

Czas Buffera

Być może autobiograficzna książka Bruce'a Buffera zatytułowana – a jakże – „It's time" mogłaby rzucić nieco światła na tę zagadkę. Poczytałem jednak recenzje o tym wydawnictwie i odechciało mi się wydawać kupę kasy na jego sprowadzenie z USA. Wystarczył mi tekst na okładce – już z tej krótkiej notki wyłania się postać raczej prostackiego bufona. Wolę inną literaturę.

W prasowym wywiadzie przed półfinałowym meczem na stadionie w Dallas Bruce Buffer krótko odpowiedział na pytanie dziennikarza, skąd się tam znalazł: „Jeśli zatelefonują i zapłacą, to przyjeżdżam". Jakże to amerykańskie.

Bruce Buffer zapowiada walki, sam jednak nie walczy. Owszem, jako chłopak próbował judo oraz kick-boxingu. Po kilku wstrząśnieniach mózgu dał sobie z tym spokój. Niech inni narażają mózgownice na ciosy, on woli zarabiać, wykrzykując energicznym głosem zapowiedzi ich walk.

Bruce Buffer ma jeszcze inną sportową pasję – pokera. To niekoniecznie musi być tylko hazard (choć zazwyczaj jest), bo istnieje także sportowa wersja tej gry, coś takiego, jak w szkole graliśmy w szatni na zapałki lub guziki. Myślę jednak, że słynny announcer nie gra na zapałki. Zanim skończył dziewięć lat, pokera nauczył go ojciec, były sierżant, instruktor piechoty morskiej. Musiała to być dobra szkoła, skoro umiejętności zostały uczniowi do dziś.

Opowieść zacząłem od Bruce'a Buffera, bo wystąpił podczas mundialu, choć powinienem od jego przyrodniego brata Michaela, który jest starszy, skończył już 81 lat. O tym, że są braćmi, dowiedzieli się dość przypadkowo już jako dorośli ludzie. Oglądając w telewizji walkę bokserską i jej popularnego announcera noszącego to samo nazwisko, Bruce zapytał, czy oni czasem nie są rodziną. Ojciec potwierdził. Gdy jego jednostka stacjonowała w Niemczech, związał się z pewną kobietą. Związek zaowocował narodzinami syna. Michael i Bruce są więc przyrodnimi braćmi. Mają tego samego ojca, choć różne matki.

Bruce, który nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić, zwrócił się o pomoc do starszego przyrodniego brata. Ten mu jej nie odmówił. Zatrudnił go w charakterze swojego menedżera, później zachęcił do pójścia własną drogą.

Wielkie grzmoty

W show biznesie trzeba przede wszystkim się czymś wyróżnić. Michael wypracował sobie powiedzonko, którym zaczynał każdą ważniejszą walkę: *Let's get ready to rumble!*, co oznacza mniej więcej „Przygotujcie się na wielką walkę!", choć moja koleżanka, anglistka i tłumaczka, twierdzi, że precyzyjniej byłoby: „Przygotujcie się na wielkie grzmoty!".

Słynnego zwrotu użył w ringu kilka miesięcy po debiucie w tej roli w 1983 r., co od razu przyniosło mu popularność i już po niespełna roku zapowiadał walkę o mistrzostwo świata między panamskim pięściarzem Roberto Duránem a Amerykaninem Daveyem Moore'em. Oprócz walk bokserskich Michael Buffer zapowiadał także widowiska wrestlingowe. MMA to już nie jego epoka, choć powiedzenie o wielkich grzmotach byłoby tu jak najbardziej na czasie.

W USA można opatentować wszystko, w 1992 r. Buffer uzyskał więc federalny znak towarowy, co oznacza, że jeśli ktoś chce zawołać w ringu *Let's get ready to rumble!*, musi Bufferowi zapłacić. I płacą. Michael Buffer jest emerytem, zaatakował go rak krtani, kuracja okazała się na szczęście skuteczna. Życie rodzinne miał zawsze nieuporządkowane, podobnie jak brat i ojciec, który w dzieciństwie oddał go do opieki zastępczej.

Na naszych oczach rodzi się kolejna announcerska legenda: Jeff Houston zapowiada wymiany ciosów w najbardziej krwawej odmianie sportów walki – pojedynkach na gołe pięści. Oczywiście do tego sportu dorobiono odpowiednią legendę. Ma to być najbardziej naturalna rywalizacja, jaką można sobie tylko wyobrazić. Istotnie, jaskiniowcy nie bili się w rękawicach, nawet takich symbolicznych, jakie obowiązują w MMA. Jeśli Jeff Houston chce dorównać Bufferom, musi się czymś wyróżnić. Krzyczenie w ringu to za mało. Announcer wychodzi więc do pracy w charakterystycznej muszce, wkładanej do pstrokatej marynarki o smokingowym kroju. Czy na muszkach da się zarobić? Być może. Jedna z amerykańskich firm chwali się w sieci, że Houston pokazuje się w muszkach ich projektu. Zapewne nie robi tego dla idei.

Za mojej dziennikarskiej młodości znaliśmy w PRL boks, zapasy i judo – sporty olimpijskie. Może ostrzejsze formy istniały, tylko zamknięci za żelazną kurtyną nie wiedzieliśmy o nich nic. Wrestling pokazywali czasem w telewizji lub w Kronice Filmowej, ale na zasadzie ciekawostki mającej pokazać, jak zdziczał kapitalistyczny Zachód. Wrestlingu zresztą i dziś chyba nikt nie nazwie sportem. To od pierwszej do ostatniej minuty wyreżyserowane widowisko dla dzieci i osób o mentalności dziecka.

Ideologia przemocy

Boks jest – używając wyświechtanego sloganu dziennikarzy sportowych z moich młodych lat – szlachetną szermierką na pieści. My – kibice i dziennikarze – byliśmy wychowywani, podobnie jak nasi pięściarze, w duchu szkoły trenera Feliksa Stamma, który technikę, a zwłaszcza lewy prosty, wyżej cenił od siły uderzenia. Michael Buffer ma swoje lata, nic dziwnego, że w przeszłości zapowiadał pojedynki bokserskie także tych największych idoli zawodowego pięściarstwa.

Co tu dużo mówić, boks w porównaniu z MMA, nie mówiąc już o walkach na gołe pięści, to niemal pieszczota. Można komuś podbić oko, zamroczyć na jakiś czas, ale zmienione po śmiertelnych przypadkach przepisy nie pozwalają uczynić poważnej szkody na zdrowiu.

MMA, czyli mieszane sztuki walki, w których dozwolone są metody z różnych dyscyplin, przy ograniczonym zakresie sposobów niedozwolonych, robią od jakiegoś czasu dużą karierę i zdobywają popularność. Gdybym miał mówić jak prawdziwy zgred, zacząłbym teraz utyskiwać na dziczenie obyczajów w dzisiejszych czasach. Ale naprawdę coś w tym jest. Ideologia przemocowa staje się coraz popularniejsza. Może nie wprost, ale na marginesie, wprowadzają ją do swoich programów różne siły polityczne.

Dawniej, jeśli komuś imponował ograniczony osiłek, który zamiast rozumem posługiwał się siłą pięści, wiedział on, że nie wypada się do tego głośno przyznawać, ani tym bardziej chwalić. Chyba że jest się człowiekiem z marginesu albo wyrostkiem z blokowiska. Teraz – hulaj dusza. Nasz prezydent chełpi się bokserską i kibolską przeszłością, pojechał do Stanów Zjednoczonych na galę MMA zorganizowaną przez prezydenta Donalda Trumpa nie gdzie indziej, ale w Białym Domu.

Teraz prezydent USA organizuje walki MMA w Białym Domu i zaprasza Bruce'a Buffera jako konferansjera. Pamiętam czasy, wcale nie tak dawne, gdy ten rodzaj sportów walki był zakazany w wielu stanach. Teraz rozpycha się jeszcze brutalniejsza federacja walk – na gołe pięści. Popatrzcie – choćby z ciekawości, jak ja – na taką walkę. Liczba nokautów jest nieograniczona, twarze walczących zmieniają się w krwawe maski. A kto nam zagwarantuje, że gdzieś w sekrecie nie organizuje się walk na kije baseballowe czy kastety lub walk, które – jak walki gladiatorów w starożytnym Rzymie – toczą się do śmierci jednego z rywali…

No dobrze, zostawmy to. Polscy siatkarze po raz kolejny wygrali Ligę Narodów, pokonując po zaciętym finale reprezentację USA. Siatkówka to piękny sport, bardzo popularny w naszym kraju. O żadnym dziczeniu nie można mówić. Fair play jest i na boisku, i na trybunach. Pieniądze jeszcze nie zniszczyły tej dyscypliny, być może dlatego, że nie ma ich w niej zbyt dużo.

WOJCIECH MITTELSTAEDT

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 5.08.2026 r.

„NIE" w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl be094cd7ef

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Miało barwę słoniny, która zbyt długo pozostawała na słońcu. Pokryte grubą pomarszczoną skórą, w wielu miejscach poszarpaną i popękaną. Porośnięte pojedynczymi kłakami; niektóre wrośnięte, powodujące zaczerwienienia i owrzodzenia. Z nieregularnych szczelin wypływała gęsta żółtozielona ropa, która cuchnęła zgnilizną.

Trzęsło się jak galareta, przypominało wielką purchawę, w każdym momencie gotową wybuchnąć i zasmrodzić atmosferę trującym obłokiem.

Wyglądało jak odpad medyczny. Jak monstrualny, wycięty jakiś czas temu guz jajnika lub jądra.

Ze zgrozą przyglądali się temu Błaszczak i Czarnek, wiceprezesi Prawa i Sprawiedliwości. Mrużyli oczy i zatykali nosy, bojąc się, że zwymiotują.

– Co to, do jasnej, kurczę, ciasnej, jest? – zapytał Czarnek, ledwie poruszając pobladłymi ustami.

– Nie wiesz? – zdziwił się zielony na twarzy Błaszczak. – Ambicja Morawieckiego.

• • •

Były piękne jak piersi Renaty Dancewicz, Moniki Bellucci czy Sharon Stone. Zdrowe, różowe, o doskonałej fakturze, bez najmniejszej skazy lub plamki. Sprężyste i gładkie.

A jaki zapach! W nutach głowy pachniały mandarynką i bergamotką, w nutach serca różą i jaśminem, a w nutach bazy mchem dębowym i paczulą. Cudowną tą wonią zniewalały, każąc się zatrzymać i zachwycać.

Falowały, kusiły, obiecywały rozkosze ziemskie i niebiańskie ekstazy.

Aż chciało się ich skosztować. Poczuć na języku kremową wanilię, tryskającą sokiem truskawkę, ożywcze mango z odrobiną orzeźwiającej marakui.

Wiceprezes stowarzyszenia Rozwój Plus Marcin Horała nie mógł oderwać od nich zachwyconego wzroku. Stał nieruchomo jak zaklęty, bojąc się, że jeśli coś powie, to olśniewający miraż zniknie niczym bańka mydlana. Mimo tych obaw zapytał pełnym podziwu szeptem: – Jezu, co to jest?

– Jak możesz nie wiedzieć? – spytał sekretarz Rozwoju Plus Michał Dworczyk i od razu odpowiedział: – To są aspiracje Mateusza.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN w upale relaksuje się w ogrodzie. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** właśnie przestała jej zazdrościć.

Senyszyn: – A czemuż to?

Wołk-Łaniewska: – A przez chlorozę, opuchlaka i przędziorka.

– A cóż to ma do zazdrości?

– To są różne choroby, które zdiagnozowano w moim znajomym ogrodzie. Nie wiem, czy to przechodzi na ludzi, ale wolę nie ryzykować, bo brzmi obrzydliwie, więc odechciało mi się siedzieć w ogrodzie.

– Spieszę cię uspokoić. Bezpośrednie przenoszenie chorób z roślin na ludzi i zwierzęta, czyli tzw. infekcje międzykrólestwowe, praktycznie nie występują. A ty, mój kochany Wołku, należysz do ziemskiej fauny, nie do flory. Po drugie, co za nieuk ci naopowiadał bzdur, że opuchlak i przędziorek to choroby roślin?

– Nikt mi nie naopowiadał, sama tak wywnioskowałam z imion…

– Opuchlak to chrząszcz, który – żeby brzmieć w trzcinie – żywi się roślinami, wygryzając im liście, co brzydko wygląda. Z kolei przędziorek jest mikroskopijnym pajęczakiem, żerującym na liściach i kwiatach, także roślin doniczkowych trzymanych w domu. Jedynie chloroza jest zaburzeniem chorobowym, polegającym na żółknięciu liści z powodu braku chlorofilu. To jakby odpowiednik anemii u ludzi. A w moim ogrodzie w tym roku nie ma nie tylko chorób, ale nawet komarów.

– A skąd wiesz, była u ciebie diagnostka?

– Nie było, bo sama potrafię zdiagnozować mój ogród i zapewniam, że jest zdrowy.

– Może tylko udaje przed tobą? Z naturą to nigdy nic nie wiadomo, ona podstępna jest. A, i jeszcze diagnostka powiedziała, że to wszystko dlatego, że jest rok ognia.

– No jest, pożary pożerają Francję, Grecję, Hiszpanię, Włochy, Portugalię…

– Oj, nie o taki ogień chodzi. W kalendarzu chińskim 2026 jest rokiem Ognistego Konia.

– Nie wiedziałam, że się interesujesz astrologią, w dodatku chińską.

– Od razu interesuję, przeczytałam w necie. Wiem też, że zeszły był Drewnianego Węża – ale to akurat od mojej przyjaciółki, która obchodziła 60. urodziny i bardzo się interesowała wszystkim, co się wiązało z rokiem 2025.

– A właśnie, co tam u Beci? Skoczyła?

– Uspokójmy może Czytelników, że nie chodzi o to, czy z rozpaczy nad swoim wiekiem skoczyła z mostu, tylko o prezent urodzinowy, który jej zafundowaliśmy: skok ze spadochronem. Owszem, skoczyła, w Pruszczu Gdańskim, lecąc, widziała morze i ogólnie była zachwycona. A nas – ekipę wspierającą – najbardziej zachwyciła firma, która te skoki organizuje i ma w swoim logo różowego ptaka z długą szyją i takimiż nogami. Ktoś chyba nie do końca przemyślał to logo, bo teraz firma rozdaje gościom naklejki z przypisem ujednolicającym.

– A przypis brzmi?

– „To nie jest kurwa flaming”.

– Ten przypis niczego nie ujednolica, skoro dalej nie wiadomo, co to jest. W dodatku ukochany polski przerywnik „kurwa” nie jest do niczego potrzebny...

– Tu się akurat nie zgodzę, „kurwa” oddaje temperaturę emocji ludzi, którzy każdemu muszą tłumaczyć, że ich różowe ptaszysko nie jest flamingiem…

– Tylko czym?

– Żurawiem. Tylko różowym.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– To tak to powinni napisać – po przecinku gramatycznym, nie emocjonalnym: „To nie jest flaming, to jest różowy żuraw”.

– To było na drugiej naklejce. Wracając do skakania z rozpaczy: przypomniała mi się anegdota, którą Jo Brand opowiedziała w programie BBC „Would I lie to you”.

– Wyjaśnijmy: program polega na tym, że ktoś opowiada jakąś historię, a reszta zgaduje, czy to prawda, czy nie. A Jo Brand to brytyjska aktorka, satyryczka i generalnie osobowość telewizyjna.

– Tym razem historia była następująca: „Pewnego razu zamówiłam tort na swoje urodziny i niechcący zrujnowałam imprezę kompletnie mi nieznanej osoby”. Rozwinięcie: Jo zamawiała kiedyś tort na swoje przyjęcie urodzinowe i z właściwym Brytom poczuciem humoru kazała na nim napisać: „Jesteś bardzo starą kobietą i niedługo umrzesz”. Kiedy przyszła go odebrać, okazało się, że na jej torcie widnieje napis „Szczęśliwej emerytury, Wendy”. Co sugeruje, że jej tort trafił na przyjęcie pożegnalne nieszczęsnej Gwendoliny… Cudne. Od dziś będę się domagać, żeby każdy mój tort urodzinowy był tak ozdobiony. Zmieniając temat…

– Najpierw powiedz, czy to była prawda, czy zmyślenie. Potem zmieniaj.

– Oczywiście, że prawda. Nikt by tego nie wymyślił. To zmieniam: byłyśmy też na festiwalu szekspirowskim. Tak dokładnie to na jednym przedstawieniu – ale za to jakim!

– Jakim?

– „Król Lear” po rumuńsku. I wiem, jak to brzmi – ale było fenomenalne. Ja w ogóle kocham „Leara”, to mój ulubiony Szekspir, a ten był zrobiony nieco dziwacznie, jeśli chodzi o scenografię, kostiumy, aranżację – ale z drugiej strony bardzo po bożemu. 140 minut bez przerwy, od początku do końca, akt po akcie, jak Szekspir napisał, acz z pewnym – jak by to ująć – bałkańskim urozmaiceniem.

– Dlaczego bałkańskim?

– Ja wiem, że Rumunia nie jest w stu procentach bałkańska geograficznie, ale kulturowo jest. Ma taki bałkański – powiedzmy – talent do okrucieństwa…

– Możesz mieć rację. W końcu tylko Rumuni rozstrzelali swego demoludowego przywódcę na miejscu, po procesie doraźnym. Inne kraje naszego bloku obeszły się z odchodzącą władzą znacznie łagodniej.

– No właśnie. I w tym spektaklu jest kilka scen, które poniekąd zaskakują dosłownością. Na przykład ten moment z III aktu, kiedy Regan i książę Cornwall wyłupują oczy hrabiemu Gloucester. W rumuńskiej interpretacji odbywa się to bardzo spektakularnie, z twarzą hrabiego zalewaną krwią, a następnie jego gałki oczne miażdżone są pod stopami oprawców z bardzo głośnym odgłosem…

– Jakim znowu odgłosem?

– Pamiętasz z dzieciństwa, jak się zrywało z krzaków takie białe kulki, po czym rzucało je na ziemię i rozgniatało butem, żeby strzeliły?

– Jagody śnieguliczki. Pamiętam.

– To właśnie takim.

– Moim zdaniem zbędna dosłowność. Kiedyś lubiłam malarstwo realistyczne, dziś wolę abstrakcyjne.

– Też bym tak pomyślała. Ale do „Leara” po rumuńsku pasowało jak ulał. I na koniec: bardzo się przejęłaś, że Nawrocki ułaskawił Starucha? Bo mnie wisi całkowicie, czy Staruch może se pójść na mecz, czy nie może. O co tyle krzyku?

– Mnie nawet ta wiadomość ubawiła, bo na pasku w TVN24 leciało: „Prezydent Nawrocki ułaskawił Starucha i miał do tego prawo”. To były słowa rzecznika Nawrockiego, który jeszcze dodał: „i wara rządzącym od prerogatyw pana prezydenta”. Zabrakło mi komentarza, że prawo miał, ale znowu ośmieszył prezydencki urząd. To jest główny problem Nawrockiego: że prawa głowy państwa wykorzystuje w swoim prywatnym interesie. Mnie obeszło to kolejne nadużycie stanowiska, żeby poprawić swoje dołujące notowania u kiboli. To ułaskawienie jest formą łapówki, więc może powinno zainteresować prokuratora generalnego.

– Na pasku leciało w kółko i TVN24 przez cały dzień mówił tylko o tym – do momentu, w którym zaczął mówić o Andrzeju Morozowskim, który umarł. Co mnie obeszło znacznie bardziej, bo choć z Morozowskim nie zgadzałam się prawie w niczym, to był to inteligentny dziennikarz. Co nie jest zbyt częste wśród kolegów z telewizji.

– Bywałam u niego w programach, począwszy od „Teraz my”, które prowadzili z Sekielskim. To była przyjemność. Coraz częściej czytam nekrologi ludzi młodszych ode mnie, co tylko potwierdza, że starość to nie kara, a nagroda. Byle w zdrowiu i sprawności.

– Czego życzymy kochanym Czytelnikom i sobie.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl be094cd7ef